Nr. 214. Lwów — Wtorek dnia 19 Września. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct.
w Niemczech . . . . 1 „ 50 „
w innych Państwach . 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł.
Numer pojedynczy we Lwowie . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 5 ct.
Numera z poprzednich dni po 10 ct.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy gości i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ KSIĘGOWĄ
przyjmuje wyłącznie:
Ajencya dzienników Sołtysiewicza we Lwowie
Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct.
W drobnych ogłoszeniach
tłustym petitem za każde słowo 2 ct.
tłustym garmondem „ „ 3 ct.
koresp. prywatne „ „ 4 ct.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 30 ct.
Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 80 ct.

Dziś: św. Januaryusza — Sosanta
Jutro: św. Eust. Such. — Rożd. Boh.

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 5 m. 49
Zachód „ 5 m. 57

Długość dnia godzin 12 m. 7
Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 18 września.

W sierpniowym zeszycie miesięcznika *Revue politique et Parlementaire* wystąpił jakiś panslawista, ukrywający się pod pseudonimem Philharmonios, z długą rozprawą o „Posłannictwie Rosyi“, rozważanem ze stanowiska narodowego. Ten autor wyznaje teoryę, że wszystkie wschodnio-słowiańskie kraje, które niegdyś posiadały ustrój autonomiczny-wiecowy, tworzą naturalne części owej całości, która w ciągu dziejów skupiała się dokoła swego jądra, jakiem jest plemię wielko-rosyjskie. Ono przyciągało do siebie sąsiednie plemiona, nietylko pokrewne mu wiarą i językiem, ale także pojęciami państwowemi i społecznemi. Tak odbywało się naturalne łączenie się wschodnio-słowiańskich ziem w jedno państwo rosyjskie. Forma tego łączenia się bywała najrozmaitsza: jedne ziemie, jak naprzykład Nowogrodzka lub Czernihowska, Twerska, albo Wiaziemska przyłączały się do jądra wielko-rosyjskiego w gruncie rzeczy dobrowolnie; inne ziemie, naprzykład wchodzące w skład państwa litewsko-ruskiego Olgierda i Witolda, trzeba było zdobyć mieczem. Lecz różne formy zbierania tych krajów w jednę całość stanowią tylko zewnętrzne urozmaicenie sposobów, używanych do wykonania zasadniczej i naturalnej dążności tych krajów do zlania się w jednę całość, dokoła swego jądra: myśl, popęd był zawsze ten sam. Z drugiej strony jądro zawsze się poczuwało do pewnych obowiązków względem cząstek, które lgnęły do niego i z niem się łączyły: ono dawało im to, czego one szukały — jednostajność urządzeń społecznych i państwowych. Taka jest myśl, tkwiąca w dziejach rosyjskich, a z tej myśli wynika posłannictwo Rosyi. Tak jest — posłannictwo! — bo wszakże owo zbieranie ziem wschodnio-słowiańskich, jedno-plemiennych, jedno-wiernych, ożywionych tą samą ideą państwową i społeczną, jeszcze się nie skończyło, gdyż do obcego państwa należy wschodnia Galicya, Bukowina i Ruś węgierska. Ale oprócz tego, podczas zbierania jednoimiennych cząstek popełniono błąd: zagarnięto część narodu polskiego, który inne posiada pojęcia państwowe i społeczne, inną wiarę i wszelkie dążenia. To obce ciało w narodowym organizmie wschodnio-słowiańskim przyczynia mu dużo cierpień. Pomijając mnóstwo chronicznych dolegliwości, które wciąż się przypominają, trzeba wspomnieć o tem, że z powodu Polaków przeżyło państwo rosyjskie w ciągu jednego stulecia aż dwa niezmiernie bolesne paroksyzmy. Zdrowy organizm wytrzymał obydwa, ale choroba nurtuje i kto wie, czem w przyszłości grozi! Wszakże nawet bardzo podrzędna nieprawidłowość w czynnościach organizmu w końcu go rozchwiewa. Więc co począć?

Tu autor daje osobny rozdział pod tytułem „Appréciation de la question polonaise“ (Ocenienie sprawy polskiej), w którym się zastanawia nad stosunkami polsko rosyjskimi. Powiada tedy, że zgodnie z obowiązkiem jądra wielkorosyjskiego względem cząstek, które do niego przystały, musi Rosya ujednostajniać na całym swym państwowym obszarze wszystkie formy życia społecznego, bo wszakże dla takiego ujednostajnienia złączyły się te cząstki z jądrem. Od tego obowiązku nie może Rosya odstąpić, bo nie ziściłaby nadziei, pokładanej w niej przez cząstki, sprawiłaby im zawód i wytworzyłaby w nich dążności odśrodkowe. Chociaż tedy wszyscy w Rosyi doskonale wiedzą, że zrosyanizowanie Polaków jest utopią, jednakże konieczność dziejowa, obowiązek jądra wielkorosyjskiego względem wszystkich innych ziem ruskich, zmusza ją do rosyanizowania Polaków, czyli do daremnego męczenia ich i siebie. Przy istniejących stosunkach innego wyjścia nie ma. Rosya powstała jakby na mocy ustnego kontraktu między jądrem i zewnętrznemi częściami, że w całem państwie będzie jedno prawo, jeden tryb życia — i tego kontraktu trzeba dotrzymać, choć z Polakami tantalowa męka. Skoro jednak nie ma dobrego wyjścia przy istniejących stosunkach, to one same są złe, a więc trzeba je zmienić, łatwo zaś to uczynić, ponieważ w samej monarchii habsburskiej dojrzewa myśl o konieczności przebudowy Austryi. Myśl rosyjska już się z tem oswoiła, pozostaje więc tylko skorzystać z dogodnej chwili, w której bez wojny i zupełnie z obu stron dobrowolnie można będzie dokonać takiej zamiany: Rosya weźmie wschodnią Galicyę, Bukowinę i Ruś węgierską, odda zaś Austryi Królestwo Polskie, jednakże bez Lubelskiego i Augustowskiego, bo tam 60% Rusinów, a tylko 40% Polaków.

Taki jest pomysł p. Philharmoniosa, o którym *Pet. Wiedomośti* powiadają, że jest wybitną osobistością w obozie panslawistycznym. Chociaż ten autor zapewnia, że jedynym celem jego rozprawy jest przygotować ogół do wypadku, który niezawodnie się stanie, gdy się wytworzy odpowiednia „kombinacya ludzi i rzeczy“, jednakże pozwalamy sobie zaliczać jego plany do rzędu tych, które kreślą marzyciele polityczni na obłokach, a to już choćby tylko dlatego, że o podobnej przebudowie Austryi nikt w niej nie myśli. Wprawdzie coś takiego doradza niemiecka broszura „Oesterreichs Zusammenbruch und Wiederaufbau“, rozpowszechniana teraz bezpłatnie w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, ale ponieważ niewiadomo, kto jest jej autorem, przeto wolno mniemać, że pochodzi ona z kół, do których należy p. Philharmonios. Bezpłodną jest rzeczą zajmować się utworami politycznych marzycieli, więc o rozprawie p. Philharmoniosa nie bylibyśmy wspomnieli, gdyby się nią nie zajęła prasa rosyjska. Ale to, co ona powiedziała z powodu tej rozprawy, zasługuje na uwagę. Kilka pism stanęło na tem stanowisku, określonem przez prof. Czyczeryna, że „jeszcze się nie zdarzyło na świecie, by państwo dobrowolnie wyrzekło się swych zdobyczy“, większość jednak dzienników dopuszcza możliwość zamiany terytoryów, wątpi wszakże, aby kiedy nastąpiła zapowiadana przez p. Philharmoniosa „odpowiednia kombinacya ludzi i rzeczy“. Przechodząc zaś do twierdzenia panslawistycznego autora, że Rosya, przyjąwszy na siebie obowiązek ujednostajnienia form życia Słowian wschodnich, musi z konieczności rosyanizować Polaków, chociaż celu tego nie dopnie, zapytują te dzienniki, czy mogą być bezcelowe obowiązki i czy wyjątków rozumnych wolno unikać? Przecież w różnych okolicach rosyjskich różne są porządki sądowe i administracyjne, nawet różne sposoby posiadania ziemi, bo w jednych miejscowościach gminy są właścicielkami wszystkich gruntów chłopskich, w innych — każdy chłop z osobna jest właścicielem wieczystym swych morgów. A zatem, skoro są takie odstępstwa od ujednostajnienia, to mogą być także inne, między niemi zaś powinien być wyjątek dla Polaków, po prostu dlatego, że, jak słusznie powiada p. Philharmonios, zrosyanizować ich niepodobna. Niech oni mają spokój w oczekiwaniu owej zapowiedzianej przez Philharmoniosa „odpowiedniej kombinacyi ludzi i rzeczy“. Jeżeli ta kombinacya nastąpi, to przynajmniej po niej Rosya będzie miała w Polakach przyjaciół.

Dziś zaczyna się w Paryżu proces przed trybunałem stanu o spisek przeciw republice, utworzony wrzekomo do spółki przez antysemitów, nacyonalistów i orleanistów. Przed trybunałem stanie przeszło sześćdziesięciu oskarżonych, lecz z czasem liczba ich zapewne jeszcze się zwiększy. Akt prokuratorski głosi, że już wszystko było przygotowane do zamachu stanu: w każdym departamencie tajnie urzędowali królewscy prefekci, a królewscy poborcy brali podatki. Twierdza Guérina przy ulicy Chabrol była od maja przygotowywana w ten sposób, aby się stała mocną cytadelą. Książę Orleański miał w stosownej chwili przybyć potajemnie do Paryża, zamknąć się w tej cytadeli i wytrzymać w niej oblężenie sił republikańskich aż do zwycięskiego końca wojny domowej. Spisek powstał w r. 1897-ym i już kilka razy miał przystąpić do zamierzonego zamachu stanu, lecz zawsze coś stanęło na przeszkodzie. Tak opiewa akt oskarżenia, cytujący dwóch szefów stronnictwa orleańskiego pp. Buffet i Frechencourt jako głównych winowajców. Proces potrwa bardzo długo, bo samo przesłuchiwanie oskarżonych zajmie 25 posiedzeń.

Jako logiczne uzupełnienie procesu przeciw antysemitom i nacyonalistom ma jutro nastąpić ułaskawienie Dreyfusa. Nastąpiłoby już ono, gdyby Dreyfus cofnął prośbę o ponowną rewizyę procesu. Ale on podobno nie chce ułaskawienia, jeno żąda sądowej rehabilitacyi. Chociaż jednak nie chce ułaskawienia — piszą paryskie dzienniki — przyjmie je, gdy ono będzie mu dane.

Cesarz Wilhelm odebrał urzędy dworskie i prawo bywania na przyjęciach u dworu wszystkim tym deputowanym, którzy głosowali przeciw projektowi budowy kanału między Renem a Łabą.

Deklaracya.

Piszą nam z Wiednia 17 września:

Deklaracya zjazdu posłów młodoczeskich, sprawia wrażenie dziwacznego anachronizmu. W przyszłą niedzielę ma się tutaj odbyć konferencya, zwołana na inicyatywę Cesarza i wskutek jednomyślnej uchwały jednej z frakcyi prawicy. Celem tej konferencyi jest uruchomienie parlamentu, wynalezienie środków, aby zatarg czesko-niemiecki złagodzić o tyle, aby stała się możliwą wspólna pozytywna czynność w Radzie państwa. W tej ważnej chwili zjazd stronnictwa, które rości sobie pretensyę do dyrygowania prawicą, uchwala rezolucyę bardzo długą, w której jednak starannie uniknięto wszelkiej wzmianki o konferencyi. Natomiast deklaracya obstaje zasadniczo przy odnowieniu prawnopolitycznej odrębności królestwa czeskiego — o czem adres większości autonomicznej nic nie wspomina. Celem zaś usunięcia teraźniejszych, „pożałowania godnych stosunków“ — jak opiewała uchwała katolickiego stronnictwa ludowego i jak świeżo w imieniu Koła polskiego oświadczył prezes Jaworski, — a zatem przedewszystkiem uruchomienia parlamentu, zjazd młodoczeski nie wypowiada skłonności do rokowań ugodowych, ani nawet teoretycznej gotowości do obesłania konferencyi, lecz domaga się:

1) Przeobrażenia teraźniejszego gabinetu w rząd parlamentarny prawicy, a zatem tek ministrów dla młodoczechów;

2) Energicznego przeprowadzenia równouprawnienia, co w danym razie jest ogólnikowym frazesem;

3) Oparcia konstytucyjnych stosunków na obywatelskiej równości (suffrage universel!) i rozszerzenia autonomii krajów, co w danych okolicznościach, tj. przy unieruchomieniu Izby poselskiej i pewności, że Izba Panów nie przystałaby na radykalną zmianę konstytucyi, nie oznacza nic innego, jak wypowiedziane w dwuznacznikach żądanie, aby „gabinet prawicy“ za pomocą zamachu stanu dokonał przewrotu konstytucyi.

W taki więc sposób „wytrzeźwieni“ młodoczesi przemawiają w przededniu zebrania się konferencyi ugodowej! Zaiste chyba tylko czechomania, podniesiona już do najwyższej potęgi, w tej deklaracyi dopatrzy się jakiejś dodatniej cechy! Nawet w roku 1891, olśnione łatwem zdobyciem mandatów staroczeskich, stronnictwo młodoczeskie nie mogło przemawiać namiętniej, nie mogło stawiać przesadniejszych żądań, ani wyraźniej zapoznawać różnicy pomiędzy mrzonkami a możliwemi zdobyczami politycznemi, niż we wczorajszej uchwale! Jeżeli wczoraj jeszcze *Vaterland* ostrożnie rozróżniał pomiędzy klubem młodoczeskim a *Narodnimi Listami*, to dziś tej różnicy nie można się dopatrzeć ani mikroskopem.

Prawda, deklaracya ta jest uchwalona pro foro interno, dla zadowolenia pp. Gregra, Anyża i t. d. w klubie, jakoteż dla zadowolenia szerokich warstw ludności czeskiej. Ale takie ciągłe schlebianie prądom szowinizmu zwiększa go i nie pozwala na żadne wytrzeźwienie ludności czeskiej. Pomimo tej deklaracyi, w Wiedniu, w komitecie wykonawczym prawicy, młodoczesi zgodzą się na obesłanie konferencyi, na co wskazuje ostatni ustęp deklaracyi, choć i tam wyraźnie o konferencyi nie wspomniano. Gdyby jednak na seryo usiłowano na konferencyi poruszyć żądanie, wypowiedziane w deklaracyi, to oczywiście nie warto wcale zwoływać konferencyi. Program niemiecki z Zielonych Świąt jest wzorem umiarkowania politycznego w porównaniu z energiczną programową deklaracyą zjazdu młodoczeskiego.

Z e w s i.

Z Tarnowskiego.

(*M. S.*) „P r z y j d ą d o p r z e k o n a n i a, że włościanie jako siła robocza i produkująca płody ziemne dla całej społeczności ludzkiej, nieodzowną są podstawą, są racyą bytu społeczeństwa. Tę więc podstawę należy wzmacniać, ubezpieczać, a nadwerężoną poprawiać. P r z y j d ą d o p r z e k o n a n i a, że te miliony przeznaczone na podniesienie oświaty ludowej a n i 5% nie odnoszą korzyści w kierunku swego przeznaczenia, aby zaś odpowiedziały celowi, p o t r z e b a d o p r o w a d z a ć d o p e w n e j r ó w n o w a g i z m a t e r y a l n y m d o b r o b y t e m; p r z e k o n a j ą s i ę, że z dzieci dobrze się uczących, dobrze czytających, piszących i rachujących, z a l e d w i e j e s t k i l k a p r o c e n t takich, którzy wszystkiego nie zaniedbali i nie zapomnieli, nim stali się pełnoletniemi“.

„I to jest rzeczą bardzo naturalną, bo człowiek ciężko fizycznie pracujący, często od świtu do nocy, często bez odpowiedniego posiłku, a będąc ojcem rodziny, stroskany o żonę i dzieci i o środki do wyżywienia i na opłacanie podatku, nie czyta, nie pisze po pracy szuka pokrzepienia w śnie; dla tego nie mamy ani wójtów, ani radnych, umiejących czytać i pisać, nawet w tych gminach, w których od lat kilkudziesięciu były szkoły, byli nauczyciele, a dzieci dobrze się uczyły“.

Słowa powyższe wyjąłem z ogłoszonego w r. 1894-tym w Krakowie sprawozdania Towarzystwa ochrony własności ziemskiej w Limanowej, strona 35.

Zaiste trudno o smutniejszą illustracyę osiągniętych przez wrzekomą oświatę ludową rezultatów, a napisali to ludzie poważni wśród ludu wiejskiego i z ludem tym żyjący, którzy, czy jako Towarzystwo ochrony własności ziemskiej, czy też jako Towarzystwo zaliczkowe, z natury swych zajęć w tych Towarzystwach w ciągłem z ludem byli i są zetknięciu — to więc głos prawdy — i głos smutku zarazem i niechby był usłuchany przez naszych socyologów i reformatorów społecznych, a już najbardziej przez naszą krajową Radę szkolną, która może myśli, iż mnożąc szkoły ludowe i nauczycieli, wiekopomne krajowi oddaje usługi a sobie stawia pomnik *aere perennius*. Tak nie jest, bo rzeczywistość temu kłam zadaje To, co o powiecie limanowskim mówi powołane przezemnie sprawozdanie, zaświadczy każdy, w innym powiecie zamieszkały, z stosunkami wiejskiemi obznajomiony — i już przedtem w kilku listach Nr. 77 i 79 *Przeglądu* z r. b. podniosłem mylność hasła „przez oświatę do dobrobytu“. Nierównie pilniejszą rzeczą było i jest popierać, pielęgnować i wedle sił finansowych kraju dźwigać dobrobyt ludności wiejskiej, niż uczyć czytać i pisać tych, co jeść nie mają co, bo faktycznie do tego już przychodzi wśród tej ludności, iż znaczna jej część walczyć musi o swe wyżywienie; jej tylko i ludziom z bliska patrzącym wiadomo jak bardzo jest ono skromne i właściwie istoty ludzkiej niegodne. „D o p r o w a d z a ć w i ę c d o p e w n e j r ó w n o w a g i z m a t e r y a l n y m d o b r o b y t e m“, by na nim oparta oświata ludowa krzepić, krzewić i rozwijać się mogła — to powinno być zadaniem administracyi.

Że sprawozdanie Dyrekcyi prawdę wypowiedziało, poświadcza skonstatowany przezemnie fakt z list stawienniczych innego zupełnie powiatu, powiatu tarnowskiego, wyjęty. Widzimy z nich, iż było umiejących czytać i pisać:

na 1118 popisowych w r. 1896 tylko 30%,
na 1104 „ w r. 1897 tylko 29·5%,
na 1009 „ w r. 1898 tylko 28·7%.

To fakt, który i w innych powiatach stwierdzonym być może, a myślę iż jest on tego rodzaju, że bardzo do zastanowienia i do powzięcia odpowiednich postanowień przynagla. Bo nakładać miliony na kraj, by taki rezultat osiągnąć, nie mogło być życzeniem jego reprezentacyi, ani nie powinno być modłą dalszego postępowania. Już w dawniejszych swych listach zwracałem uwagę na ten niepomyślny stan rzeczy — naturalnie, że stan ten rzetelnie i gruntownie zbadanym być musi, to zaś uczynić może tylko władza, która rozporządza całym aparatem środków i organów. Myślę, że nie ma nikogo w kraju, któryby tego sobie nie życzył i nie oczekiwał, boć to przecie obowiązkiem władzy, jak skoro tego rodzaju wątpliwości na polu oświaty ludowej podniesione i faktami niejako stwierdzone zostały, zdać sobie samej jasno sprawę z tego, co na tem polu osiągniętem zostało i równie jasno i bez tuszowania przedstawić reprezentacyi kraju.

Zadziwiać musi, że pp. inspektorowie szkolni przy swych peryodycznych lustracyach nie byli dość ciekawi zbadać skutków udzielanej w szkołach ludowych nauki i w lustrowanych przez siebie gminach przez przywołanie kilku lub kilkunastu ludzi, którzy przed 10 laty te szkoły ukończyli, nie starali się zbadać stanu ich wiadomości w tym ich wieku, w którym właśnie tych wiadomości potrzeba się uczuć daje, bo przecież nie na to się uczy dzieci, by o n e coś umiały, ale by umiały w ó w c z a s, gdy jako dorośli wstępują w życie czynne i tych wiadomości w ó w c z a s d o p i e r o i n a j b a r d z i e j potrzebują. Lecz nie słyszałem zupełnie o tego rodzaju badaniach pp. inspektorów, bo i po cóż? Władza przełożona nie nakazała tego, nauczyciele uczą pilnie, frekwencya szkół dobra, postępy prawidłowe, lustracye inspektorskie odbywają się pilnie i prawidłowo, wszystko więc w porządku według przepisu, tylko kraj z swą oświatą zostaje w nieporządku, ale to rzecz mniejsza — pacyent umrzeć może, byleby ściśle leczony był według ordynacyi leczniczej Niestety, tak jest.

Każdy trzeźwo na rzeczy krajowe patrzący ma to nieprzeparte uczucie, że się nie zabrano do rzeczy praktycznie i że się za wiele ofiar od kraju wymagało i wymaga, w stosunku do osiągniętych rezultatów. Niech mi nikt nie zarzuci, że tak być musiało, że łożone ofiary w późniejszym dopiero czasie przyniosą swe owoce, b o j e ż e l i s i ę l u d n o ś c i m a t e r y a l n i e n i e p o d ź w i g n i e, t o c a ł y t e n m i l i o n o w y n a k ł a d s t r a c o n y m z o s t a n i e, a osiągnięty bardzo skromny skutek, w ż a d n y m s t o s u n k u n i e b ę d z i e j do poniesionych ofiar.

41)

SONIA KOWALEWSKA

przez

KAROLINĘ LEFFLER

Przekład Anastazyi Świderskiej.

(Ciąg dalszy).

Po pierwszem naszem poznaniu, krótko byłyśmy razem i ścisłej przyjaźni zawiązać nie miałyśmy sposobności, gdyż w parę miesięcy po jej przybyciu do Sztokholmu wyjechałam za granicę. Wyuczyła się przez ten czas po szwedzku, tak, że wszystkie moje pisma czytać mogła. Przyjechawszy do Sztokholmu zabrała się do nauki, w pierwszych tygodniach niczem innem zajętą nie była. Brat mój oznajmił jej, że chce sprosić na wieczór wszystkich swych przyjaciół, aby ich przedstawić, na co ona powiedziała: „Zaczekaj pan dwa tygodnie, a będę już mogła rozmawiać po szwedzku“. Uznaliśmy to za wielką z jej strony zarozumiałość, a jednak dotrzymała słowa. Przez zimę poznała całą naszą nowoczesną literaturę i zachwycała się legendami Frithjofa. Ta niezwykła łatwość uczenia się języków, miała pewne granice. Sama mówiła, że nie ma talentu do obcych języków i że się tylko z konieczności i przez ambicyę uczy. Rzeczywiście, uczyła się wprawdzie niezmiernie szybko, ale nigdy do doskonałego władania językiem nie doszła, a wyuczywszy się nowej mowy, dawniejszą zapominała. Pomimo, że bardzo młodą do Niemiec przybyła, mówiła zawsze łamaną niemczyzną; przyjaciele i znajomi żartowali z niej i z wyrazów, jakie tworzyła. Nie krępowała się nigdy poprawnym doborem słów, mówiła szybko, płynnie i zawsze wyrażała to co chciała, i nadawała rozmowie właściwą sobie cechę. Od czasu jak po szwedzku mówić zaczęła, po niemiecku zupełnie prawie zapomniała. Szczególnem było, że jak była strudzona lub źle usposobiona, słów znaleźć nie mogła, przeciwnie, gdy była wesoła i ożywiona, wyrażała się z łatwością.

Ostatniej jesieni powróciwszy z kilkutygodniowej podróży z Włoch, pod urokiem tego kraju mówiła biegle po włosku, a z trudnością wyrażała się po szwedzku, gdyż właśnie źle była chwilowo dla Szwecyi usposobiona. Francuski język znała najlepiej, choć nie zupełnie poprawnie pisała. W Rosyi uważano nawet, że jej rodzinną mowę psuje znajomość obcych języków. Narzekała nieraz na to, że w Szwecyi z swymi najlepszymi przyjaciółmi po rosyjsku rozmawiać nie może. „Nie potrafię nigdy najtajniejszych, najdelikatniejszych moich myśli jasno wypowiedzieć, muszę się pierwszym lepszym wyrazem, jaki znajdę posługiwać. Jak z wami rozmawiam, nie znajduję nigdy właściwego określenia. W Rosyi dopiero czuję się, jak by mnie z więzienia uwolniono. Wy nie wiecie, co to za męka mówić zawsze obcym językiem, to tak, jak by się maskę na twarzy nosiło“.

W lutym wyjechałam do Londynu i nie widziałam Soni Kowalewskiej aż we wrześniu 1884 roku, przez ten czas odebrałam następujący list: „Cóż mam o mojem życiu powiedzieć? Towarzystwo ożywiło się, nieraz strudzona jestem. Zgromadzamy się na obiady i wieczory, bez ustanku, tak, że nie potrafię być wszędzie, zwłaszcza, że trzeba się na wykłady przysposabiać. Obecnie mam dwutygodniowe wakacye z powodu świąt Wielkanocnych i cieszę się jak jaka młoda uczenica. Pierwszego maja wybiorę się do Berlina, zatrzymam się w Petersburgu. Co się tyczy przyszłej zimy, nic jeszcze stanowczego powiedzieć nie mogę, nie zależę bowiem od siebie samej.

Jak się łatwo domyślisz, wszyscy mówią o tobie. Listy twoje chciwie czytają, nad każdem słowem się zastanawiając. Damy, zajmujące wybitne stanowisko w salonach, nudzą się z braku sensacyjnych wydarzeń i brukowych plotek; byłby to miłosierny uczynek, gdybyś paczkę ich całą nadesłała. Cieszę się i obawiam zarazem, jakie będzie miała powodzenie twoja sztuka, jak ją na scenę podadzą“.

W kwietniu skończyła Kowalewska wykłady i pojechała do Rosyi, zkąd pisała do Mittag-Lefflera.

„Zdaje mi się, że wieki upłynęły od czasu jak ze Sztokholmu wyjechałam. Nigdy nie potrafię wyrazić panu mojej wdzięczności i przyjaźni, którą w mem sercu dla niego czuję. W Szwecyi drugą ojczyznę i drugą rodzinę znalazłam i to w takiej właśnie chwili, kiedy najwięcej pociechy potrzebowałam“.

Wykłady Sonii były dotąd prywatne, zjednały jej jednak taką sławę, że Mittag-Leffler wyrobił jej z łatwością miejsce profesora w Uniwersytecie na następne pięć lat. Znalazło się liczne grono osób, które zobowiązało się płacić rocznie dwa tysiące koron jako honoraryum za wykłady pani Kowalewskiej w Uniwersytecie. Rząd taką samą sumę wyznaczył. Sonia przeto zapewnione miała cztery tysiące koron.

Majątkowe jej położenie nie dozwalało bezpłatnych wykładów, jak to dawniej uczynić chciała. Teraz zachodziły inne okoliczności, które jej objęcie tej posady utrudniały.

Trzeba było zwalczyć uprzedzenia konserwatystów, którzy zewsząd głos podnosili przeciw przyjęciu kobiety jako profesora Uniwersytetu, albowiem fakt podobny nie istniał nigdy. Z drugiej strony Mittag-Leffler pragnął mianowanie pięcioletnie na dożywotnie zamienić, widząc jednak piętrzące się trudności, zaniechał na razie wszelkich kroków. Po upływie pięciolecia, udało mu się wyrobić nominacyę pani Kowalewskiej na dożywotniego profesora. Niestety! Sonia z łaski tej zaledwie rok jeden korzystać mogła.

W roku 1884 przesłał Mittag-Leffler telegraficznie do Kowalewskiej do Berlina radosną wiadomość, że jest mianowaną na lat pięć profesorem Uniwersytetu w Sztokholmie. Odpowiedziała bez zwłoki następującym listem:

„Łatwo Pan uwierzy, jak mnie Jego depesza ucieszyła. Teraz mogę wyznać, że do ostatniej chwili nie dowierzałam, aby Jego starania pożądany skutek odniosły. Obawiałam się jakiejś nieprzezwyciężonej przeszkody, która wszystkie nasze plany zniweczy. Silnie jestem przekonaną, że pomyślny skutek jedynie Panu zawdzięczam. Pragnę gorąco mieć potrzebną zdolność i siłę do dokładnego wypełniania moich obowiązków i być panu pomocą we wszystkich jego dążeniach. Ufam, że moja przyszłość błogie mi chwile przyniesie, szczęśliwą będą, pracując razem z panem i błogosławię trud, który nas do siebie zbliżył. Profesor Weierstrass mówił z kilkoma panami z ministeryum o mojem pragnieniu uczęszczania na wykłady tutejszego Uniwersytetu, mam nadzieję, że pozwolenie uzyskam, obecnie jednak nie, gdyż teraźniejszy rektor nieubłaganym jest nieprzyjacielem kobiet. W grudniu może, jak tu na święta przyjadę, spełni się moje życzenie“.

I tak, kiedy pani Kowalewska w Sztokholmie profesorem Uniwersytetu mianowaną została, niewolno jej było uczęszczać, dla tego, że jest kobietą, na wykłady w niemieckiej stolicy.

Przed swoją wycieczką do Berlina, pojechała Sonia do Moskwy, gdzie jej córeczka pod opieką dawnej, dobrej przyjaciółki pozostawała. Z listu Soni, pisanego do Mittag Lefflera widzimy, jak trudno jest kobiecie pogodzić obowiązki wybitnego stanowiska z obowiązkami rodzinnemi.

„Odebrałam list od T..., który mnie upomina, abym moją małą Sonię do Sztokholmu zabrała. Choć bardzo pragnę, dziecinę moją mieć przy sobie, postanowiłam jednak zostawić ją jeszcze przez zimę w Moskwie. Nie sądzę, aby to było korzystnem dla mojego dziecka, gdybym je ztąd do Sztokholmu wywiozła. Tutaj ma dobrą opiekę, u mnie nic nie jest dla niej przysposobione, cały czas zajęty mam moimi nowemi obowiązkami. Między innemi powodami pisze T... że mnie wszyscy, o obojętność dla mego dziecka oskarżać będą. Przyznaję, że to może jest słuszne, a jednak wzgląd na to żadnej u mnie niema wartości, zastosuję się we wszystkich drobnych czynnościach do zapatrywań pań Sztokholmskich, w ważnych jednak wypadkach, zwłaszcza w rzeczach, tyczących się mego dziecka, byłoby nie do przebaczenia, gdybym moje przekonania poświęcała na to tylko, aby w oczach mieszkanek Sztokholmu sławę dobrej matki pozyskać“.

Powróciwszy do Szwecyi, zamieszkała Sonia przez kilka tygodni w Södertelii, aby tam w zupełnym spokoju, dawno rozpoczętą pracę „Łamanie się światła w krystalicznem medium“ wykończyć. Mittag-Leffler wraz z pewnym młodym matematykiem mieszkali tam również, ten ostatni pomagał Sonii Kowalewskiej do wydania jej pracy w niemieckim języku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nie tak pojmował nieodżałowanej pamięci marszałek Zyblikiewicz akcyi kraju na polu oświaty ludowej — chociaż sam z ludu wyszedł; może właśnie dlatego, że z niego wyszedł, chciał on mieć wprawdzie w każdej gminie szkółkę, ale **pod strzechą**, przytuloną do kościoła, w którejby ksiądz i organista, czy też kościelny, byli udzielali dzieciom początki nauki. On widocznie liczył się z zasobami finansowemi gmin i kraju, bo to był charakter na wskroś prawy, a umysł wysoce praktyczny i daleko patrzący. On nie marzył o całym arsenale nauk i wiadomości które w główki naszej dziatwy wiejskiej dziś wtłoczyć usiłują, których ona nie rozumie, a z wielkiem wysileniem jako tako nauczana, w latach poza szkołą spędzanych zapomina i zapomnieć musi — bo jak skoro jej nie stać na kupowanie sobie książek i dzienników, na którychby później utrwalić mogła to, co wpierw się nauczyła i zakres swych wiadomości rozszerzać, to musi się cofać i przyjść do tego stanu, o jakim mówi powołane przezemnie sprawozdanie i musi sobie wówczas postawić pytanie, na co się jej zdało to bieganie 6cio letnie do szkoły i te męczarnie jakich tam doznawała, o chłodzie i głodzie, brodząc nieraz kilka kilometrów drogi, w błoto, deszcz lub zawierzuchę śnieżną — a to samo pytanie stawiają i rodzice, widząc tak małe z tej oświaty korzyści, a czując dotkliwie wydatek, jaki z tego powodu mieli na szkołę w ogóle, a w szczególności na książki szkolne i bądź co bądź lepsze ubranie dla dzieci.

A przecież tego wszystkiego można było i należało uniknąć, tylko nie trzeba było w naszych biednych stosunkach chcieć naśladować, nie wiem Belgii czy Anglii, lecz pomnąc o naszem starem i prostem przysłowiu „według stawu grobla“ nie stawiać po wsiach istnych pałaców szkolnych i nie tworzyć takim kosztem całego zastępu młodych nauczycieli, którzy za wiele umieją dla tej dziatwy, a za mało dla krzewienia prawdziwej oświaty.

Wiem, że uwagi dyrekcyi towarzystwa limanowskiego, jak i te, któreśmy tu skreślili, nie przemówią do przekonania kół nauczycielskich, może nawet wywołają oburzenie i obdarzą nas nazwą wsteczników, gasicieli itp. ale będzie to najniesłuszniej, boć my ich przecie nie oskarżamy, nie oni są temu winni, że taki system z góry przyjęto, że ich stosownie do tego wykształcono i że im uczyć każą tak jak oni uczą, myślę jednak, że każdy z nich, który się nad tem zastanowi i odniesie skutki swej pracy do osiągniętych rezultatów i nałożonych krajowi ofiar, przyzna w swej duszy, że mamy racyę utrzymywać, że inaczej w tem dziale ludzkiej pracy być mogło i być było powinno. Jedną do nich zanoszę prośbę, by widząc jak małemi są rezultaty ich pracy w stosunku do niesionych przez kraj ofiar, byli powściągliwszymi w biadaniu na niedostateczne wynagrodzenie i skromniejszymi w swych żądaniach. Nie moją rzeczą rad udzielać, byłoby to zarozumiałością z jednej, ubliżeniem z drugiej strony, w obec ludzi rozumnych, światłych i patryotycznych, na czele wychowania publicznego stojących. Zbadawszy rzecz, potrafią oni niewątpliwie powziąć zgodne z dobrem kraju postanowienia.

Echa z wód.

Soboty, we wrześniu.

Miesiąc z górą upłynął od daty mojego pierwszego stąd listu. Sezon kąpielowy zbliża się ku końcowi, a mimoto goście napływają ciągle. Przedostatnia kurlista z dnia 22 z. m. notuje 439 osób nowoprzybyłych, ostatnia z dnia dzisiejszego 204, ogólna zaś cyfra gości od początku sezonu do pokaźnej cyfry 9.896 osób już wzrosła. Ponieważ wiele osób, zwłaszcza ze wsi, przybywa dopiero na wrzesień, po ukończeniu pilnych robót w polu, przeto spodziewać się można, że ogółem około 12.000 osób odwiedzi w tym roku Soboty. Jak na tego rodzaju drugorzędne miejsce kąpielowe, jest to frekwencya bardzo znaczna.

Do powodzenia Sobót — jak to już zaznaczyłem — przyczyniają się głównie Polacy, a zwłaszcza mieszkańcy Warszawy. Jeżeli z przytoczonej powyżej cyfry kuracyuszów potrącić znaczną liczbę Gdańszczan, którzy mają tutaj swoje wille lub stałe letnie mieszkania i, ściśle biorąc, do przyjezdnych nie mogą być zaliczani, to się okaże, iż co najmniej czwartą część gości tutejszych stanowią Polacy.

Przy takim napływie Polaków czasby doprawdy pomyśleć o udogodnieniu sobie pobytu w Sobotach drogą samopomocy, zwłaszcza, że od Niemców spodziewać się wiele nie możemy. Wspomniane przezemnie w pierwszym liście dwa polskie pensyonaty: p. Kulerskiego i pp. Deichslów, aczkolwiek prowadzone dosyć starannie, mają dużo braki i nie mogą zadowolić wymagań cokolwiek wybredniejszych. Są to, że tak powiem, przedsiębiorstwa amatorskie, a dobre chęci i powodzenie gospodarzy-amatorów nie mogą w danym razie zastąpić wielu innych warunków, niezbędnych do urządzenia i należytego prowadzenia tego rodzaju zakładów na większą skalę. Zresztą, przy zwiększonem dzisiaj zapotrzebowaniu, pensyonaty te ilościowo nawet są już niewystarczające, a wobec tego zmonopolizowanie w ręku dwóch przedsiębiorców zaspokajania potrzeb przybywających tu na kuracyę Polaków nie może wyjść na pożytek gości.

Byłoby tedy bardzo pożądanem i ze wszech miar wskazanem, ażeby się zawiązała jakaś spółka polska czy towarzystwo akcyjne, któreby zakupiło w Sobotach plac odpowiedni (o co — jak słyszę — obecnie jeszcze dość łatwo) i wybudowało na nim duży hotel czysto polski z polską kuchnią i odpowiedniemi naszym gustom wygodami. Hotel taki, urządzony bez zbytku, ale z komfortem i wszelkiemi nowoczesnemi udogodnieniami, a następnie powierzony w ręce uzdolnionego fachowca, miałby powodzenie niezawodne; byłby przedsiębiorstwem rentującem się, a zarazem wielce pożytecznem.

Wobec zwiększającej się z każdym rokiem frekwencyi Polaków w Sobotach uderzającym jest też brak należytego starania o zaspokajanie potrzeb religijnych tutejszej ludności katolickiej. Soboty należą do parafii w Oliwie, gdzie — jak wiadomo — jest duży piękny kościół po-klasztorny, dzisiaj parafialny (ze słynnemi organami); w Sobotach jest tylko szczupły kościółek filialny, mogący pomieścić co najwyżej około dwustu osób. Już przed trzema laty była mowa o budowie nowego kościoła, ale sprawa ta postępuje — jak dotąd — bardzo powoli; snadź znajduje się w rękach niebardzo gorliwych i niedość dbałych o rozwój katolicyzmu na tutejszych kresach. Co gorsza, polityka wkracza tu bardzo widocznie do Kościoła, skutkiem czego język polski staje się coraz bardziej upośledzony, w imię wszystko pochłaniającego hasła „Deutschland über Alles“. Bardzo często słyszę tu utyskiwania, że duchowieństwo katolickie staje się dziś w Prusach powolnym organem germanizacyi. Być może, że w tych żalach jest dużo przesady; chętniebym je też zupełnem pominął milczeniem, gdyby nie smutne objawy, na które patrzę własnemi oczyma.

W Oliwie, gdzie w sezonie letnim przeważną część pobożnych stanowią Polacy miejscowi i przyjezdni, nabożeństwa dodatkowe w kościele odbywają się w języku niemieckim, pieśni podczas Mszy św. śpiewają się po niemiecku; kazania przed sumą bywają również niemieckie; a tylko co parę tygodni, po sumie z kazaniem niemieckiem proboszcz miewa dodatkowe kazanie w języku polskim, przyczem Kaszubom wolno odśpiewać kilka pieśni kościelnych po polsku.

W tutejszym kościółku nabożeństw regularnych nie ma; bywają tylko Msze św., odprawiane o różnych godzinach, zazwyczaj bardzo wcześnie i głównie przez przebywających tu w gościnie księży. Śpiewy podczas Mszy św. odbywają się i tu po niemiecku; kazań polskich nie bywa wcale. Niedawno jeden z przybyłych na kuracyę księży prosił proboszcza z Oliwy, ażeby, z okazyi odpustu w Sobotach, pozwolił mu powiedzieć w tutejszym kościółku kazanie w języku polskim. Proboszcz kategorycznie pozwolenia odmówił... i było jedno tylko kazanie — po niemiecku.

Czy na to wszystko jest *ein Wink von Oben*, czy też proboszcz działa *proprio motu* — nie wiem; objaśnić wszakże winienem, że proboszcz w Oliwie jest pochodzenia polskiego i że ma do pomocy dwóch wikaryuszów...

Wracając do spraw materyalnych, sądzę, że dotychczasowe powodzenie winnoby zachęcić administracyę kąpielową w Sobotach do coraz większych starań o wygodę gości i uprzyjemnienie im pobytu. Wszystko, co dotąd zrobiono, nie wyszło poza granice melioracyj elementarnych; pod względem komfortu, wygód i zabawy Soboty dalekie są jeszcze bardzo od tego postępu, jakiego wzór dają stacye nadmorskie we Francyi, Belgii lub Holandyi. Wprawdzie pobyt tutaj jest cokolwiek mniej kosztowny, niż w Ostendzie, Boulogne, Trouville, Dieppe, Blanckenberghe i innych; wszak że różnica w cenie nie odpowiada różnicy wartości tego, co się za ową cenę tu i tam dostaje. To mając na względzie, pobytu w Sobotach już dziś tanim nazwać nie można, a przy ciągłej tendencyi zwyżkowej może nadejść chwila, że porównania z zagranicą odstręczą stanowczo bardzo wiele osób od przybywania do Sobót. Przeciąganie struny w wyzyskiwaniu na swoją jedynie korzyść powodzenia jest dla właścicieli zakładu i dla mieszkańców tem niebezpieczniejsze, że Sobotom grozi coraz więcej konkurencya innych miejscowości kąpielowych Bałtyku.

Nie mówiąc już o dalszych wybrzeżach Prus i państwa rosyjskiego, w najbliższych od Sobót miejscowościach wyrastają, jak grzyby po deszczu, nowe „kurorty“.

Niedawno przedsiębiorcze i zasobne Towarzystwo żeglugi parowej na Wiśle podjęło trudne zadanie stworzenia takiego „kurortu“ na Heli. Uboga wieś rybacka na piaszczystym półwyspie z bardzo nędzną roślinnością naturalną i z glebą pod uprawę szlachetniejszych roślin i krzewów całkiem niezdatną, pozbawiona przytem zupełnie komunikacyi lądowej ze stałym lądem, nie nadawała się bardzo do tego rodzaju przedsiębiorstwa. A jednak Towarzystwo nie ulękło się tych trudności i rozpoczęło energiczną walkę z niewdzięczną przyrodą. Zbudowano kurhaus i kabiny kąpielowe, poubijano na grząskim piasku chodniki, mające stanowić aleje przyszłego parku, uporządkowano lasek, wiodący od wsi do latarni morskiej, ulubione miejsce spacerów gości, zaprowadzono stałą komunikacyę z Gdańskiem i Sobotami, do której służą parowce, odchodzące dwa razy dziennie i przebywające tę drogę w ciągu niespełna dwóch godzin; obecnie zaś roboty prowadzone są w dalszym ciągu około parku i bulwarów nad morzem. Ażeby mieć wyobrażenie, z jakiemi trudnościami Towarzystwo przytem walczyć musi, dość wspomnieć, że ziemię pod uprawę przywozić trzeba statkami z dalekiego lądu. Oczywiście wobec tych warunków Hela nieprędko stać się może ponętnem miejscem kąpielowem i pierwej niemało marek musi pochłonąć. Ale już i dzisiaj przybywa tu i zapełnia kurhaus sporo Niemców, znęconych taniością i silniejszem morzem, a nie lękających się nudy, piasku i słońca.

Groźniejszym atoli współzawodnikiem Sobót może się stać w niedalekiej już przyszłości sąsiednie Brzeźno (Brösen), położone bliżej Gdańska i portu w Neufahrwasser. I tu stanął w tym roku nowy, duży kurhaus, urządzony bardzo starannie, oświetlony elektrycznością, z pięknemi werandami, wieżyczkami i rozległym widokiem na całą zatokę i morskie wybrzeża.

Tuż obok kurhauzu obszerne urządzenia kąpielowe: po prawej stronie dla dam, po lewej dla mężczyzn; kabinki świeże, czyste, porządniejsze, niż w Sobotach. Po za kurhauzem ogród, nad którego przyozdobieniem obecnie żywo pracują; w głębi hotel z dużą na dwa piętra salą, stanowiącą ozdobę kurhauzu. Na prawem wybrzeżu lasek sosnowy, ciągnący się aż do przystanku kolejowego, odległego o jakie dziesięć minut drogi od kurhausu, skąd co godzina odchodzą pociągi do Gdańska. Sporo willi, rozrzuconych tu i owdzie wśród ogrodów, stoi już na usługi gości, a na nowe miejsca nie braknie. Kąpiele tańsze niż w Sobotach, utrzymanie — także.

Całkowita „pensya“ w kurhauzie wynosi 6 marek od jednej osoby (w Sobotach — 7), a 10 marek od 2 osób; w willach prywatnych oczywiście musi być taniej. Ma wprawdzie Brzeźno tę złą stronę, że jest położone bliżej ujścia Wisły, skutkiem czego woda morska jest więcej z rzeczną zmięszana, niż w Sobotach; ale za to kąpiele w Brzeźnie są więcej otwarte, bo mniej półwyspem Heli zasłonięte; mają więc fale silniejsze. Bądź co bądź Brzeźno ma przed sobą przyszłość i Soboty powinnyby się z tym współzawodnikiem bardzo rachować.

W chwili, gdy to piszę, huk dział mięsza się z szumem wzburzonego morza: w zatoce wre walka, na szczęście — fikcyjna tylko. Od tygodnia flota niemiecka, złożona z ośmnastu wielkich pancerników i mnóstwa małych torpedowców, odbywa pod Gdańskiem manewry, które potrwają jeszcze do niedzieli. Stanowi to w dość monotonnem życiu Sobót dużą rozrywkę bo ewolucye białych olbrzymów i ich czarnych niewolników gołem okiem z brzegu obserwować można, a kto ma ochotę, może się zapoznać bliżej z temi przejrzałemi owocami cywilizacyi XIX stulecia, zwiedzając owe straszne narzędzia zniszczenia. Marynarze niemieccy chętnie i z nietajoną dumą pokazują ciekawym profanom swoje drogocenne skarby, nad których pomnożeniem tak bardzo dzisiaj pracują...

Interview z Pobiedonoscewem.

Pewien dziennikarz wiedeński, współpracownik *Neue Freie Presse* miał niedawno interview ze znanym prokuratorem rosyjskiego świętego synodu, Konstantynem Pobiedonoscewem, który wracając z podróży włoskiej do Petersburga, zatrzymał się właśnie na parę dni w Wiedniu. Jak opowiada ów dziennikarz, 60-letni Pobiedonoscew powierzchownością swoją robi wrażenie raczej profesora niż męża stanu; był on też w istocie niegdyś profesorem prawa w uniwersytecie moskiewskim. Rozmowa, która toczyła się po francusku, zeszła wnet na wewnętrzne stosunki austryackie. Na zapytanie dziennikarza, czy czeskie aspiracye budzą w istocie sympatyę u Rosyan, zawołał Pobiedonoscew:

„Wcale nie! Czesi bowiem znajdowali się zawsze pod wpływem niemieckiej kultury, i nie pojmuję, jak oni mogą zaprzeczać tej zależności! O ile mi się zresztą zdaje, to teraz brak u nich zupełny wybitnych mężów, bo np. Kramarza nie można porównać z takim Palackim i innymi znakomitymi Czechami, których znałem niegdyś osobiście“.

„A propos Palackiego — przerwał dziennikarz — czy Wasza Ekscelencya przypomina sobie, że z okazyi jego jubileuszu w Pradze przemawiał w imieniu Rosyan jenerał Komarow?“

„Dziwi mnie, że to nazwisko biorą tutaj tak na seryo. Wszakże Komarów i jego poplecznicy nie mają u nas w Petersburgu żadnego znaczenia. Wogóle decydujące sfery rosyjskie zachowują się względem czeskich aspiracyj zupełnie obojętnie, to też Czesi nie mają żadnego prawa powoływać się na rzekomy patronat Rosyi.“

„A słowiańskie Towarzystwo dobroczynności?“

„Cóż znowu! My Rosyanie jesteśmy ludźmi uprzejmymi nawet względem Czechów, jeśli do nas przybędą w gościnę. Ale oto i wszystko. Co za powód mieliby zresztą Rosyanie nie przypatrywać się obojętnie wypadkom w Austryi? Czy może mamy entuzyazmować się dla Polaków galicyjskich? Może mamy ich pochwalać za to, że uciskają Rosyan?“

„Wasza Ekscelencya ma zapewne na myśli Rusinów?“

„To wszystko jedno. Rusini są jednego z nami szczepu i jednej religii, i dlatego nazywam ich Rosyanami. Niestety cierpią oni ucisk od Polaków w Galicyi, a są ciemiężeni także i na Bukowinie.“

„Wasza Ekscelencya nie uchodzi też wcale za przyjaciela Polaków. Lecz za to także katolicka ludność w Polsce kongresowej skarży się często na prześladowania ze strony Rosyi“.

„Ja zaś za granicą uchodzę za ciemiężyciela *par excellence?* A jednak dzienniki europejskie szerzą o mnie fałsze, przeceniając mój wpływ u dworu. Miewam audyencyę u cara tylko raz na miesiąc, i to zwykle tylko na kwadrans, podczas którego zdaję relacyę z moich czynności. Nie jestem wszechmocnym w Rosyi, a nawet nie wszystko, co dotyczy sprawy wyznań, jest wyłącznie pod moją władzą, wiele bowiem spraw z tego działu przypada ministrowi spraw wewnętrznych. Mam jeden głos w komitecie ministrów, jak wszyscy inni ministrowie, zresztą jestem i tajnym radcą i radcą stanu, piastuję nadto i inne godności, ale, jak powtarzam, nie jestem wszechmocnym. Jeżeli zaś mnie podają za wroga katolików, a o Rosyi mówią, że ona prześladuje katolicyzm, to się to sprzeciwia prawdzie. U nas czasami i Rosyanie przechodzą otwarcie na katolicyzm, a nikt ich za to nie karze. Tylko o ile katolicyzm jest narzędziem polonizmu, musimy go zwalczać. Mojem zdaniem każdy katolicki ksiądz jest u nas ajentem polonizmu, a na to my Rosyanie obojętnie patrzyć nie możemy.“

„Zdaje się, Ekscelencyo, że stosunki rosyjskie z Watykanem stały się teraz przyjaźniejszymi, niż dawniej? Wszak Rosya od paru lat ma swego ministra rezydenta w Rzymie, a nawet mówiono o tem, że w celu czuwania nad interesami Stolicy papieskiej w Rosyi ma osiąść w Petersburgu papieski nuncyusz.“

„Tak mówiono o tem, i są ludzie u nas, którzy sobie tego życzą. Ale ja zwalczam ten projekt i mam w Bogu nadzieję, że Papież nie będzie miał w Petersburgu zastępcy.“

W dalszym ciągu rozmowy z wiedeńskim dziennikarzem zapewniał Pobiedonoscew, że także o ucisku Finlandyi przez Rosyę krążą nieprawdziwe wieści, rozsiewane zwłaszcza przez agentów, których Anglia posyła do Finlandyi w celach jątrzenia. „Kwestya finlandzka“, mówił Pobiedonoscew, „jest zresztą tylko kwestyą jednolitości armii. Cobyś pan powiedział na to, gdyby w Austryi, jedna jakaś prowincya lub jakaś jedna klasa ludności chciała uzurpować dla siebie specyalne przywileje w armii? A nam nie miałoby być wolno przez zniesienie przywilejów finlandzkich wzmocnić jednolitości rosyjskiego wojska?“

„Podobnie niesłusznie — ciągnął dalej Pobiedonoscew — przedstawiają mnie jako prześladowcę żydów i na mój karb kładą wszystko, co zwłaszcza za czasów Aleksandra III zarządzono przeciwko żydom. Na swoją obronę jednak zauważyć muszę, że większą część tych zarządzeń wydano nie w moim wydziale, i przytaczam nadto, że w niektórych kołach najwyższej inteligencyi żydowskiej mam przyjaciół i widocznie mir, skoro niedawno zmarła w Paryżu baronowa Hirszowa zostawiła do mojej dyspozycyi milion franków na szkoły rosyjskie. Zresztą tak żydowska kwestya jak katolicka nie są dla mnie kwestyami religijnemi. My w Rosyi nie jesteśmy tak nietolerancyjnymi, za jakich nas za granicą uważają. Kwestya żydowska była dla nas zawsze tylko kwestyą ekonomiczną. Żyd rosyjski jest trzeźwym, umiarkowanym, żeni się zazwyczaj wcześnie, prowadzi porządne życie rodzinne, a te wszystkie przymioty uzdolniają go do eksploatowania Rosyan, którzy mu często pod tym względem nie dorównują. Dlatego musieliśmy w pewnych okolicach Rosyi wyznaczyć żydom osobne siedziby i skoro w skutek swej ekspansywności tu i owdzie, jak np. w Moskwie, przekroczyli przeznaczoną dla nich granicę mieszkalną, musieliśmy przeciwko temu wystąpić. Ale prawa ludzkości istnieją także i w Rosyi, o czem np. świadczy jej zachowanie się wobec afery Dreyfusa...“

„Jeśli się nie mylę Ekscelencyo, to kwestyę tę traktowano w Rosyi po największej części bez uprzedzenia?“ — zagadnął współpracownik *Neue Fr. Presse.*

„W istocie — odrzekł prokurator synodu. Jestto dość smutnem, że na sprawę tę, która nie powinna była nigdy przekraczać ram sprawiedliwości i ludzkości, zapatrywano się zbyt często ze stanowiska stronniczego, czy to żydowskiego, czy antisemickiego. Zresztą proces w Rennes wykazał dla każdego bezstronnego, że Dreyfus jest niewinnym i za takiego też go po większej części w Rosyi uważają. Jak mi się zdaje, w ponownem skazaniu Dreyfusa odegrały dwa momenty główną rolę: po pierwsze pewnego rodzaju fanatyzm nie pozwolił Francuzom na dopuszczenie do tego, aby *chose jugée* (sprawa osądzona) została zdezawuowaną; po drugie chodziło wielu Francuzom z góry o uratowanie honoru armii, która im się zdaje być powołaną do obalenia teraźniejszego porządku rzeczy we Francyi i przywrócenia stałych rządów monarchicznych w miejsce tych wiecznych zmian, których widownią jest to państwo“.

O wewnętrznych stosunkach we Francyi wyrażał się Pobiedonoscew bardzo ujemnie. Przyczynę moralnego upadku Francyi upatruje Pobiedonoscew w wadliwem wychowaniu młodzieży francuskiej.

Wreszcie na uwagę dziennikarza wiedeńskiego, że wypadki we Francyi, które — jak się jemu zdaje — u najlepszej części Rosyan sympatyi bynajmniej nie wywołały, równocześnie powiększyły sympatye Rosyan do Niemiec, odrzekł Pobiedonoscew:

„Nasze stosunki z Niemcami są teraz w istocie dobre. Wprawdzie to przemagające stanowisko które od początku XVIII wieku zajęli Niemcy w administracyjnych i handlowych stosunkach rosyjskich, nieraz doprowadzało do tego, że Rosyanie odczuwali potrzebę obrony przed Niemcami i w istocie też w historyi Rosyi są takie chwile reakcyi przeciw wpływowi niemieckiemu. Ale teraz nasze obopólne stosunki są jak najlepsze, a co się mnie osobiście tyczy, to moje całe wykształcenie ma na sobie niemieckie piętno“.

Na tem kończy się opisana w *Neue Fr. Presse* rozmowa jej współpracownika z p. Pobiedonoscewem. Owóż nie mając prawa zarzucać temu współpracownikowi rozmyślnego przeinaczenia rozmowy, musimy zaznaczyć, że zdaniem naszem musiał on bezwiednie pozmieniać niektóre jej punkta w duchu swego dziennika. I tak np. trudno przypuścić, żeby p. Pobiedonoscew jeden z najwyższych dygnitarzy rządu rosyjskiego popełnił taki nietakt i wyraził się ujemnie o instytucyach sądowych Francyi, a więc zaprzyjaźnionego z Rosyą mocarstwa, nie ulega także wątpliwości, że nie mógł powiedzieć, iż Dreyfus niewinien, skoro sędzią w sprawie Dreyfusa nie był, aktów procesu nie badał, a zna sprawę jedynie z relacyj dzienników.

W takich warunkach wypowiadanie tak kategorycznego zdania przeciwnego wyrokowi sądu wygląda zawsze jako wielka lekkomyślność, a cóż dopiero w ustach człowieka, który jako urzędnik powinien być przyzwyczajony do szanowania wszystkich wyroków władzy. Jeżeli te dwa fakta nie mogą podlegać wątpliwości, to wprost już śmiesznem jest przypuszczenie, że Pobiedonoscew, oberprokurator św. Synodu, a więc człowiek stojący na straży prawosławia, nie wie o tem, iż w kodeksie karnym rosyjskim jest deportacya na Sybir za przejście z prawosławia na katolicyzm i że wszyscy ci, którzy jak Galicyn, Gagaryn, Tołstoj (nie pisarz ale pop) etc. przeszli na katolicyzm, wszyscy oni uciekli z Rosyi, gdyż groziło im więzienie i katorga na Sybirze.

To też do tej rozmowy korespondenta *N. fr. Presse* z p. Pobiedonoscewem przywiązujemy o tyle tylko wagę, o ile w oczach naszych znamiennym jest fakt, że ten wysoki dygnitarz rosyjski poważył się z taką nieprzyjaźnią odzywać się o polskich poddanych cesarza rosyjskiego, a więc swoich współobywateli i nadto, że śmiał napiętnować księży katolickich jako agitatorów politycznych, co jest dziś wręcz nieprawdą, a co niestety było tylko prawdą w epoce r. 1863. Czas jednak już nie karać dzisiejszych księży, ludzi lojalnych zupełnie, za winy ich dawno już nie żyjących poprzedników.

Z izby sądowej.

Praga 16 września.

(Zamordowanie dziewczyny)

W Kutnejhorze toczył się przez 5 dni proces przeciwko Leopoldowi Hilsnerowi, oskarżonemu o zamordowanie dziewczyny. Budził on dlatego niezwykłe zajęcie, że oskarżonym o morderstwo był żyd, a zamordowaną katoliczka i wskutek tego zrodziły się pogłoski o morderstwie rytualnem.

Hilsner, liczący lat 33, rodem z Polny i tamże zamieszkały, bez zajęcia, oskarżony był o to, że dnia 29 marca b. r. około godziny 6 wieczorem, zamordował w lesie zwanym Brzezina, w okolicy Polny, dziewczynę nazwiskiem Anna Hruzianka. W akcie oskarżenia wypowiedziano przekonanie, że Hilsner miał przy spełnieniu zbrodni niewyśledzonych dotąd pomocników. Anna Hruzianka liczyła lat 19 i była córką wdowy Maryi Hruziny, zamieszkałej w Małym Wiśniczu o kwadrans drogi od Polny. Anna od dwóch lat chodziła codziennie na robotę do szwaczki Maryi Pechalowej, zamieszkałej w Polnie, tuż obok dzielnicy żydowskiej. Wychodziła z domu zawsze o godzinie 7 rano a wracała około kwadrans na ósmą wieczorem, zawsze tą samą drogą. Dnia 29 marca Anna nie przyszła już do domu, a matka przypuszczała, że spóźniwszy się przy pracy, zanocowała w Polnie. Kiedy Anna jednak do piątku nie wróciła do domu, matka zaniepokojona, udała się do Polny, gdzie dowiedziała się, że i tam od środy wieczorem córki jej nie widziano. Żandarmerya rozpoczęła natychmiast poszukiwania i następnego dnia w sobotę wieczorem znalazła zwłoki Anny Hruzianki w okolicznych zaroślach.

Wydelegowana tego samego wieczoru komisya sądowa, zastała zwłoki leżące na brzuchu z twarzą ku ziemi a głową opartą na ramionach. Głowa obwiązaną była pokrwawioną koszulą, z której kawał płótna wydarto, a drugi wycięto. Zamordowana miała na sobie krótki kaftaniczek i wełnianą spodniczkę. Rękawy u koszuli podkasane były aż do ramion. Nogi sterczały w górę. Obok zwłok leżał biały pleciony kosz, w którym znajdował się imbryczek na mleko i szmat czerwonej materyi wełnianej. O trzy metry dalej znaleziono torebkę papierową, z boku pokrwawioną, naddarty numer *Narodni Politik* i kawał grubego, zakrwawionego płótna. Na drzewach wisiały nitki bawełny, wydarte widocznie z koszuli i użyte jako szarpie. Nadto znaleziono pokrwawiony kawał powroza. Znów o parę metrów znaleziono skórzaną sakiewkę i dwie pokrwawione chustki, a jeszcze dalej nową spodnicę, mocno pomiętą i pokrwawioną i trzecią, wytarzaną w błocie. Pod mchem leżał kostur sosnowy, u góry zakrwawiony.

Lekarze sądowi dr. Michalek i dr. Prokesz stwierdzili rany na głowie, zadane kosturem, oraz głęboką ranę na szyi, zadaną wielkim nożem; stwierdzili także, że trup był prawie zupełnie bezkrwisty. Stąd przypuszczenie, że Anna została nie przez jednego, lecz przez kilku wprzód pozbawiona przytomności, następnie głębiej w las zawleczona, gdzie przecięto jej szyję i zadano ową okropną ranę, która spowodowała upływ krwi a następkie śmierć ofiary.

Na poparcie podejrzenia przeciw podsądnemu akt oskarżenia przytacza okoliczności, że znał on Annę oddawna, że ją prześladował, że w dzień morderstwa widziano go w lesie w towarzystwie dwóch nieznajomych, że nie zdołał wykazać *alibi*, że w dzień morderstwa dwukrotnie zmienił odzież, że nosił z sobą duży, ostry nóż, że jego tłómaczenie się w każdym ustępie sprzecznem jest z zeznaniami świadków. że znaleziono u niego spodnie ze śladami krwi, że znany był jako nicpoń i leniuch, i że wobec dziewcząt zachowywał się zuchwale i t. d.

Trybunałowi przewodniczył prezydent sądu radca dworu Jeżek. Oskarżonego bronił adwokat dr. Urzedniczek. Matkę zamordowanej zastępował dr. Baxa, poseł młodoczeski. Sala przez cały czas procesu była szczelnie zapełniona. Pomiędzy dziennikarzami było także dwóch reporterów pism antisemickich z Paryża.

Hilsner oświadczył, że jest niewinnym. Zaprzeczył jakoby był bez zajęcia, był bowiem polowym; Anny Hruzar nie znał, być zresztą może, że ją znał z widzenia, ale nazwiska jej z pewnością nie znał. Oskarżoy opowiadał, że dnia owego, w którym morderstwo popełniono, był na górze Katarzyny, gdzie budowano i przypatrywał się robocie. Kilku murarzy grało w karty, a on stał koło nich. Około godziny 3 po południu powiedział do nich: Idę do miasta może kto ze mną pójdzie. Ponieważ nikt nie chciał mu towarzyszyć, poszedł sam do miasta, ale nie przez lasek „Brzezina“, lecz obok niego. O godzinie 3 był już w mieście. Wieczorem około godziny 6 chodził po rynku; następnie był w towarzystwie niejakiego Zworaczka; później poszedł do bóżnicy, gdzie zastał kilku znajomych. Czekał w bóżnicy aż się żydzi zgromadzili na modlitwę, a potem poszedł do domu. W domu zastał już matkę. Nie wie, czy brat jego nie był w domu. Zjadłszy kolacyę położył się spać w pokoju, w którym mieszkają wszyscy. I brat jego spał w tym samym pokoju

U oskarżonego znaleziono popielate spodnie z czerwonymi śladami, które wedle opinii rzeczoznawców prawdopodobnie pochodzą z krwi ludzkiej. Oskarżony powiada, że może ślady te pochodzą stąd, iż gdy raz nosił cegły, skaleczył się w nos i nogę. Pewien świadek zeznał, że widział podsądnego z trzema towarzyszami na ulicy. Jeden z tych trzech był brunetem, miał szczególnie nabiegłe oczy, grube usta i zaniedbany wygląd. Ten człowiek miał pod ramieniem jakiś pakunek. Nie był on z owej okolicy i wyglądał zupełnie na żyda. Widziano go także w karczmie, gdzie zwrócił powszechną uwagę. Oskarżony odpowiedział na to, że taki człowiek był, ale on z nim nie szedł. Nazywał się on Beran i żebrał w tameczną gminie.

Zastępca strony poszkodowanej dr. Baxa zapytał: Czy to morderstwo stało się przed żydowskiemi świętami, czy po nich?

Hilsner: Cztery dni po świętach.

Dr. Baxa: W śledztwie powiedziałeś pan, że 14 dni przed świętami po raz ostatni byłeś w lesie, a teraz powiadasz, że cztery. Co to ma znaczyć?

Oskarżony: Chrześcijanie sądzą, że żydzi potrzebują na te święta krwi, dlatego wypierałem się, że przed świętami byłem w lesie.

Kilku świadków nadmieniło, że Anna była tak silną i krzepką, iż jeden człowiek, zwłaszcza taki nikły, jak Hilsner nie mógłby jej zamordować. Niektórzy świadkowie zaplątali się w sprzeczność tak z własnemi swemi zeznaniami, złożonemi przed sędzią śledczym, jakoteż z zeznaniami innych świadków, wskutek czego pewne punkty nie zostały dostatecznie wyjaśnione.

Komisarz policyi Sedlak zeznał, że w miejscu, gdzie zamordowano Hruzarównę, utworzył się rodzaj komitetu, który zbierał wiadomości i donosił o nich sądowi. Redaktor dziennika *Deutsches Volksblatt* twierdził, że dnia 29 marca widziano w Polnej żyda Berana, i obstawał przy tem, mimo, iż przewodniczący stwierdził, że Beran był wówczas w więzieniu, skąd go wypuszczono dopiero 30 marca. Również twierdził ten świadek, że Hilsner opowiadał dwom czeladnikom szewskim, iż w nocy poprzedzającej morderstwo nocował u Hilsnerów rzezak rytualny z pobliskiej miejscowości.

Po przeprowadzonej rozprawie ława przysięgłych zaprzeczyła główne pytanie co do zbrodni skrytobójstwa 11 głosami przeciw 1, zaś potwierdziła jednogłośnie pytanie dodatkowe co do współwiny w zbrodni skrytobójstwa. Trybunał więc **skazał Hilsnera na śmierć przez powieszenie.**

KRONIKA.

Lwów 18 września.

Konsekracya ks. biskupa Szeptyckiego odbyła się wczoraj uroczyście w katedrze św. Jura. Wstęp do katedry był za biletami. O godzinie 9 rano zabrzmiały po trzykroć uroczyste dzwony, poczem z pałacu metropolitalnego wyruszyła procesya ku katedrze; na czele procesyi postępował ks. metropolita Kuiłowski, a za nim arcybiskupi: Morawski, Issakowicz i Hryniewiecki, oraz biskupi: Weber, Czechowicz i Pelczar ze świecami w ręku, otaczając postępującego w środku ks. Szeptyckiego; dalej szli dostojnicy świeccy, niosący pozłacane bochenki chleba i pozłacane baryłki wina; wreszcie licznie reprezentowana rodzina nominata. Za przybyciem do cerkwi, ks. metropolita Kuiłowski jako główny konsekrator przystąpił do odprawienia nabożeństwa pontyfikalnego przed wielkim ołtarzem, a ks. biskup-nominat w zwykłych szatach mszalnych kapłańskich rozpoczął odprawiać

cichą Mszę św. przed ołtarzem Matki Boskiej w bocznej nawie. Księdzu metropolicie asystowali wszyscy wymienieni wyżej arcybiskupi i biskupi, a honorowe miejsca przed wielkim ołtarzem zajęli dygnitarze świeccy, cywilni i wojskowi, oraz rodzina ks. Szeptyckiego, wśród której zwracał zwłaszcza uwagę ojciec nowego księcia Kościoła, hr. Jan Szeptycki w pięknym czarnym kontuszu.

Po *„introitus parvus"*, odmówionym przez ks. metropolitę, kanonicy przyprowadzili ks. Szeptyckiego przed „carskie wrota", przed któremi leży wielka makata, przedstawiająca na tle gór i zieleni białego orła, symbol dzielności i bystrości umysłu, jaką ma odznaczać się biskup. Ks. Szeptycki, stojąc na owym orle białym, prosi trzykrotnie metropolitę o wyświęcenie na biskupa stanisławowskiego i składa trzy wyznania wiary, jedno najtreściwsze, a dwa t. zw. szersze. Między temi trzykrotnemi prośbami i między składaniem trzykrotnem *credo*, odczytano bulle papieskie o nominacyi ks. Szeptyckiego i odmówiono przepisane modły. Po trzeciem wyznaniu wiary, ubrano ks. Szeptyckiego w szaty biskupie, przypasano mu „miecz duchowny", na znak, iż ma być szermierzem wiary chrześcijańskiej, oraz wręczono mu pastorał. Rozbrzmiała wtedy z chóru pieśń „Mnohaja lita!" poczem konsekrowany ukląkł przed metropolitą, który położywszy na jego głowie Ewangelię, włożył nań ręce, co uczynili następnie wszyscy koncelebranci. Wreszcie metropolita udzielił nowemu biskupowi trzykrotnego błogosławieństwa Krzyżem św. i na tem ceremonia liturgiczna konsekracyi się skończyła, a celebrant i koncelebranci, jakoteż nowy biskup udali się znów przed wielki ołtarz, gdzie ks. metropolita dokończył nabożeństwa pontyfikalnego. Po nabożeństwie włożył metropolita na ks. Szeptyckiego płaszcz biskupi, poczem ks. metropolita i ks. biskup Szeptycki udzielili ludowi błogosławieństwa, a następnie z resztą orszaku ceremonialnego powrócili do pałacu metropolitalnego i z balkonu raz jeszcze pobłogosławili zebrane przed pałacem tłumy.

Podczas mszy pontyfikalnej śpiewał pod batutą p. Melnyka pieśni mszalne chór mięszany uczniów i uczenic instytutu wychowawczego przy katedrze św. Jura.

Po uroczystości kościelnej odbył się w pałacu metropolitalnym na cześć nowego biskupa obiad na 60 nakryć dla zaproszonych dygnitarzy duchownych i świeckich.

Ks. biskup Szeptycki odjeżdża w środę do Stanisławowa, gdzie w niedzielę odbędzie się jego instalacya na tron biskupi.

Namiestnik hr. Piniński powrócił w sobotę wieczorem do Lwowa; wczoraj wziął udział w uroczystości konsekracyi ks. biskupa Szeptyckiego.

Wiadomości urzędowe. Dyrekcya poczt i telegrafów zezwoliła na zamianę miejsc służbowych kontrolorom pocztowym: Wiktorowi Wieczorkowi w Samborze i Ignacemu Jurkiewiczowi w Krakowie; tudzież asystentom pocztowym: Zygmuntowi Julianowi Kleczkowskiemu ze Lwowa i Mieczysławowi Kajetanowiczowi z Jasła.

Wydział krajowy zamianował dr. M. Łopacińskiego sekundaryuszem I klasy, a dr. D. Sternbacha sekundaryuszem II klasy w krajowym szpitalu św. Łazarza w Krakowie.

Z Koła literacko-artystycznego. I zebranie Wydziału naukowo-literackiego odbędzie się w sobotę dnia 23 bm., o godzinie 8 w lokalu „Koła". Redaktor Adam Krechowiecki odczyta ustęp z cyklu powieści „O Tron". Wstęp wolny dla członków Koła, oraz dla osób przez nich wprowadzonych.

Nowy urząd pocztowy otwarto w Bystrej obok Bielska na Szląsku.

Szkoła handlowa we Lwowie otworzoną zostanie dnia 1 października. Dyrektorem jej zamianowany został p. Antoni Pawłowski, dotychczasowy profesor szkoły przemysłowej w Czerniowcach. Szkoła handlowa mieścić się będzie już tego roku w budynku seminaryum nauczycielskiego żeńskiego.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada gminna m. Żywca p. Władysławowi Bogdaniemu, długoletniemu marszałkowi powiatowemu i radnemu w Żywcu.

Jokai się ożenił. Znakomity pisarz węgierski Maurycy Jokai, liczący dziś 75 lat wieku, zawarł tymi dniami w magistracie w Budapeszcie ślub cywilny z 23-letnią artystką dramatyczną, Bellą Nagy. Ślubu kościelnego nie było, gdyż Jokai jest protestantem, a żona jego izraelitką. Nowożeńcy wyjechali w podróż poślubną do Wenecyi.

Docent dr. H. Schramm powrócił do Lwowa.

Bankructwo. Wiedeński związek wierzycieli ogłasza upadłość Maksa Reitzesa, kupca we Lwowie.

Konkursa rozpisują: Izba notaryalna w Tarnowie na posadę notaryusza w Dąbrowie, opróżnioną po śp. dr. Bartmanie. Termin do 10 października. — Sąd powiatowy w Strzyżowie przyjmie od 1 października dyetaryusza z płacą 30 zł.

Sprawa dyrektury w Towarzystwie muzycznem. Wczoraj zebrał się wydział lwowskiego Towarzystwa muzycznego na posiedzenie, na którem miano rozpatrzeć nadesłane podania o posadę dyrektora Towarzystwa. Przewodniczył prezes ks. Lubomirski, a z ramienia Wydziału krajowego obecnym był na posiedzeniu radzca p. Wereszczyński. Przewodniczący podał na wstępie do wiadomości, że otrzymał petycyę pod adresem Wydziału, zaopatrzoną w blisko 2000 podpisów, w znacznej części członków wspierających Towarzystwa, a domagającą się, by posadę dyrektora nadano prof. Melcerowi. Następnie przystąpiono do sprawozdania o nadeszłych podaniach o tę posadę. Ogółem wpłynęło ich 31, w tem zaś tylko cztery, pochodzące od Polaków. Te przeto cztery, jako odpowiadające zupełnie warunkom konkursu, będą wzięte w rachubę; zanim jednak wydział wyda swą decyzyę, zasięgnie w tej sprawie opinii grona nauczycielskiego Towarzystwa muzycznego. Definitywne załatwienie wakansu nastąpić ma jeszcze w bieżącym tygodniu.

Zmiana nazwiska. Namiestnictwo zezwoliło p. Kazimierzowi Rymarzowi, urzędnikowi magistratu rzeszowskiego na zmianę nazwiska rodowego „Rymarz" na „Korski".

Przeciwko Maryi Sulikowej, która niedawno została przed lwowskim sądem przysięgłych uwolniona od zbrodni usiłowanego morderstwa na 6-letniej córeczce Petruńci, wdrożyła prokuratorya państwa śledztwo, mające na celu wykrycie, o ile prawdziwą była denuncya Petrunci co do morderstwa, którego się Sulikowa miała dopuścić w roku 1896 na swym synku Jasiu. Natomiast przeciw wyrokowi w sprawie Petrunci prokuratorya nie wniosła zażalenia nieważności.

Sprostowanie. Pan Franciszek Garczyński nadsyła nam sprostowanie, z którego się dowiadujemy, żeśmy mylnie zrozumieli jego pierwszy list i mylnie donieśliśmy, iż jest gotów oddać na rzecz swych pokrzywdzonych kolegów połowę przypadającej na niego części funduszu emerytalnego byłego gal. Banku kredytowego. Gotów on wprawdzie jest oddać im połowę przypadającej na niego części tego funduszu, ale w zamian za dziesięć lat mniej wieku, co znaczy zapewne, że wolałby mieć mniejszy udział w funduszu emerytalnym, a być o dziesięć lat młodszym.

W Stojanowie, w powiecie kamioneckim odsłonięto ubiegłego tygodnia pomnik cesarzowej Elżbiety, kuty z piaskowca. Na frontonie w niszy znajduje się metalowy biust zmarłej Monarchini, a pod niszą tablica z odpowiednim napisem. W uroczystości odsłonięcia wzięło udział duchowieństwo obu obrządków, reprezentanci władz, liczne delegacye oficerskie i tłumy ludu.

Kraj. szkoła stolarska w Stanisławowie przesłała nam sprawozdanie swe za rok szkolny 1898/9, tj. za ósmy rok swego istnienia. Miała ona przeciętnie 48 uczni, a miałaby ich więcej, lecz szczupłość lokalu nie pozwoliła na przyjęcie większej liczby uczni. Przeto komitet zarządzający szkołą czyni starania o wystawienie dla szkoły osobnego budynku, co powinno stać się z dwóch względów: najpierw dlatego, że szkoła ta jest prawdziwie pożyteczną, co nawet stwierdzają swoją pilnością i gorliwością sami uczniowie; powtóre dlatego, że czynsz dziś opłacany za lokal wynajmowany, wystarczyłby niemal na oprocentowanie kapitału, potrzebnego na koszta budowy, gruntu zaś dostarczyłaby niewątpliwie gmina stanisławowska darmo. W szkole tej uczą stolarstwa, tokarstwa i snycerstwa, a w ubiegłym roku szkolnym wyrobili uczniowie wiele praktycznych przedmiotów z zakresu artystycznego stolarstwa meblowego, przeważnie na zamówienie, ogólnej wartości 2.600 zlr. Szkoła jednak nie będąc warsztatem zarobkowym, a tylko szkołą, nie wytwarza konkurencyi przemysłowcom, że zaś sama może przyczynić się do swego utrzymania, to chyba można uważać tylko za objaw pomyślny, bo przecież napsuje się tam przy nauce materyału wiele. Zarząd szkoły w myśl obowiązujących go przepisów, baczy na to, aby powiększał zastępy zawodowo wykształconych stolarzy, a więc stolarstwo podnosił a nie zagrzebywał go. W roku szkolnym ubiegłym z 43 klasyfikowanych uczni, dziesięciu otrzymało stopień bardzo dobry, 21 dobry, sześciu dostateczny, siedmiu zły. Dziewięciu uczni nie klasyfikowano. Na zapisanych ogółem 52 uczni było wśród nich 32 Polaków, 19 Rusinów i 1 Niemiec-katolik. Nauka w tej szkole trwa cztery lata. Szkoła ta posiada prawo wydawania swym uczniom świadectw uzdolnienia zawodowego w zakresie stolarstwa i snycerstwa, a więc zastępuje zupełnie praktykę terminatorską. Zapomogi i stypendya pobierało w tym roku szkolnym 27 uczni w łącznej sumie 1729 złr. 60 ct.

Kurs ogrodnictwa i pszczelnictwa urządzony we Lwowie dla nauczycieli szkół ludowych i włościan staraniem zjednoczonego galicyjskiego Towarzystwa dla ogrodnictwa i pszczelnictwa, zakończył się egzaminem, odbytym w obecności radzców szkolnych: Tokarskiego, Zalewskiego i Dziedzickiego, a wynik tego egzaminu świadczy aż nadto wymownie o usilnych staraniach, jakie podjęli prelegenci, aby w tak krótkim czasie, bo zaledwie w ciągu 15-tu dni, objąć cały przedmiot i zaznajomić z nim gruntownie słuchaczy. Uczestników kursu było w tym roku 35-ciu, a pomiędzy nimi 18 tu nauczycieli, 10-ciu włościan, 6-ciu gospodarzy małomiejskich i jeden ksiądz.

Prezes Towarzystwa prof. dr. Teofil Ciesielski wykładał pszczelnictwo, wyrób napoi, użytkowanie i przerabianie owoców, dr. Maksymilian Schoenet, asystent prof. dr. Ciesielskiego, zapoznał słuchaczy z zasadami anatomii i fizyologii roślin, zaś p. Adam Błażek, inspektor ck. ogrodu botanicznego, uczył sadownictwa i warzywnictwa. Rano odbywały się zawsze wykłady, a po południu praktyczne ćwiczenia, objaśnienia mikroskopowe i wycieczki do znaczniejszych zakładów ogrodniczych, jak pp. Piątkowskiego, Wolińskiego, Fr. Klimowicza i do ogrodu szkolnego Towarzystwa na Zamarstynowie.

Kursa takie odbywają się od trzech lat i przysporzyły już krajowi wielu miłośników i pracowników na niwie pszczelnictwa i ogrodnictwa. Rada szkolna krajowa, oceniając te zabiegi, udzieliła jedynastu nauczycielom stypendyów, aby mogli z nauki korzystać. Również Zjednoczone galicyjskie Towarzystwo dla ogrodnictwa i pszczelnictwa udzieliło dwudziestu uczestnikom stypendyum w kwocie 12 złr., na który to cel otrzymało 200 złr. za pośrednictwem komitetu Towarzystwa gospodarskiego z funduszu ministeryum rolnictwa. Towarzystwo dla ogrodnictwa i pszczelnictwa dostarczyło nadto wszystkim uczestnikom bezpłatnego pomieszkania, a pp. prelegenci ofiarowali swą pracę zupełnie bezinteresownie.

To też po skończonym egzaminie radzca Dziedzicki w serdecznych słowach podziękował imieniem Rady szkolnej prof. drowi Ciesielskiemu i prelegentom za tyle trudów i poświęcenia, a gorące słowa podzięki i owacya, jaką przy pożegnaniu urządzili słuchacze tak prezesowi, jako też prelegentom, były wymowną oznaką uczucia, z jakiem opuszczali mury uniwersytetu.

Wyścigi cyklistów odbyte wczoraj pod jakąś indyjską nazwą „Gymkhama" nie odpowiedziały oczekiwaniom publiczności. Przedewszystkiem dostrzegało się pewien brak energii i zapobiegliwości w zarządzie komitetu wyścigowego; dla okazania jak mało starał się ten komitet spełnić swoje zadanie, zanotować wystarczy, że pierwszy bieg miał się odbyć z balonikami, przy czem cykliści mieli nawzajem sobie baloniki te odrywać podczas jazdy. Bieg ten naznaczony był na godzinę 3. Otóż wyścigi rozpoczęły się o godzinie pół do 4-tej biegiem drugim z jajami a biegu z balonikami odbyć nie można było, bo komitet wyścigowy zapomniał zakupić baloniki. Drugi przykład: miał się odbyć wyścig między koniem a rowerem, więc oczywiście publiczność spodziewała się, że będzie to koń wyścigowy, tymczasem ponieważ takiego konia nie było i o niego wcale się nie postarano, więc w ostatniej chwili odprzągnięto jakiegoś starego konia z dorożki a ta dychawiczna szkapa nie chciała wcale rywalizować z rowerem.

Jeżeli w podobny sposób będą urządzane wyścigi klubu cyklistów, to stracą one tak samo reputacyę, jak ją straciły wszystkie koncerta, urządzane we Lwowie przez domowe siły. Dziś na takie koncerta nikt nie chodzi, bo każdy wie z góry, że połowa programu nie zostanie wykonana, a druga będzie wykonana źle. Niech komitet klubu cyklistów weźmie do serca naszą życzliwą uwagę i albo nie urządza wcale wyścigów, albo gdy je zapowie, urządzi je w sposób odpowiadający miastu stołecznemu.

Mimowolne bratobójstwo. Z Borysławia donoszą: Synowie państwa Wolańskich, 12 letni Józef i 7-letni Leon, wyszli ze strzelbą do lasu na dzikie gołębie. W lesie nic nie upolowali, aż w mieście na dachu jednego domu spostrzegli gołębia. Leon wydrapał się na dach, aby gołębia schwytać, a Józef, zniecierpliwiony oczekiwaniem, stojąc na dole strzelił do gołębia, ale strzał trafił malutkiego Leosia; nabój śrutowy trafił go w twarz i wraz z zębami i językiem utkwił mu w mózgu. Biedny malec na miejscu umarł.

Duch czasu. W jednej z gazet niemieckich czytamy co następuje: W połowie bieżącego stulecia zasiadał na tronie arcybiskupim w Kolonii kardynał Geissel. Za czasów jego rządów katedra kolońska otrzymała jedno z najpiękniejszych okien. Fundował je znany bankier koloński, baron Oppenheim wskutek poprzedniej rozmowy z zaprzyjaźnionym z nim kardynałem. Szymon Oppenheim, był żydem, ale dzieci swoje kazał, ochrzcić. Kardynał Geissel chętnie dysputował z bankierem w rozmaitych kwestyach filozoficznych. Razu pewnego usiłowano określić, czem jest „duch czasu", ale ani kardynał, ani Oppenheim nie umieli znaleźć wyczerpującej, dokładnej definicyi. Następnego dnia zjawia się bankier wczesnym rankiem u kardynała i woła z tryumfem: „Eminencyo, teraz już wiem, czem jest duch czasu. Gdy żyd Oppenheim, zafunduje okno dla największego niemieckiego tumu chrześcijańskiego, to będzie — „duch czasu!" Kardynał zgodził się chętnie na taką definicyę i tum koloński otrzymał jedno z najpiękniejszych okien.

Pomysłowe Amerykanki wpadły na nowy rodzaj zebrań towarzyskich. Otóż na zebraniach tych, mających miejsce raz na tydzień, towarzystwo całe, jak również i gospodarze domu, ubrani są w kostyumy dziecięce i aranżowane są wszystkie gry i zabawy odpowiednie dla dzieci od sześciu do dziesięciu lat życia. Podobno zabawy takie wchodzić zaczynają w modę coraz więcej, gdyż uczestnicy ich bawią się na nich doskonale.

Ciekawy kontrakt. W Charkowie jednemu z sędziów pokoju dostał się do ręki ciekawy kontrakt, zawarty między pewnym właścicielem domu a lokatorem. Przytaczamy z tego kontraktu następujące punkty, któremi gospodarz związał swego lokatora:

1) alkoholu używać tylko jako środka zewnętrznego, zamiast wody kolońskiej!

2) nie palić;

3) poświęcać się literaturze i nauce wolno, polityce — nie;

4) w karty nie grać;

5) z właścicielem domu nie rozmawiać o sprawie Dreyfusa itd.

„Ciemne błyskawice" obserwowano niejednokrotnie podczas burzy i wysilano się na wytłómaczenie tego zjawiska. Obecnie ogłasza lord Kelvin w londyńskiem czasopiśmie *Electrician* o spostrzeżeniu, z którego wynika, że „ciemne błyskawice" są złudzeniem optycznem i w rzeczywistości wcale nie istnieją. Słynny ten przyrodnik angielski przebywa obecnie w południowo-francuskich kąpielach Aix-les-Bains. Szalała tam niedawno straszliwa burza; w krótkich przestankach, nie dłuższych czasem nad sekundę, rozdzierały widnokrąg jasno pojedyńcze, podwójne, potrójne i poczwórne błyskawice. Nagle ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzał lord Kelvin na rozjaśnionem niebie dwie niemal prostopadłe ciemne linie, naśladujące zwyczajny zygzak błyskawicy. Przypomniał sobie atoli, że poprzednio widział dwie podobne, ale rzeczywiste jasne błyskawice, wnioskował tedy, że ciemne błyskawice były tylko następstwem odbicia na siatkówce. Szybko odwrócił się więc od ciemnego nieba i skierował swój wzrok do jasno oświetlonej ściany pokoju, na której również ujrzał te same ciemne promienie. Tym sposobem stwierdzono więc, że odnośne zjawisko jest następstwem znużenia siatkówki oka. W rzeczywistości nie istnieją „ciemne błyskawice".

Nałogowi złodzieje Dobrowolski i Franiszyn, oskarżeni o okradzenie kapitana Urbańskiego we Lwowie, zostali dziś skazani — pierwszy na 6, drugi na 5 lat ciężkiego więzienia.

Zmarli. W Siennowie obok Kańczugi ks. Tomasz Kowalski, dziekan przeworski, lat 82 wieku, a 57 kapłaństwa. — W Kozłowie Piotr Rylski. Pogrzeb odbył się dziś rano w Milatynie. — We Lwowie w zakładzie im. Bilińskich Stanisław Frankowski, członek rządu narodowego z r. 1863, lat 62.

Stan powietrza. T. o. g. 7 rano +11, w poł. +13 R. Bar. 761. Nieruchomy. Pochmurno.

Bajka.

Talent, kawaler nadzwyczaj miły,
Widząc Zasługę, że traci siły,
Rękę chciał podać jejmości tej,
Lecz ona z gniewem:
— Próżne zachody,
Na taki zaszczyt jesteś za młody,
Więc się odemnie odczepić chciej!

Cenzura.

Ojciec. Ach, ty próżniaku! Więc jesteś ostatnim uczniem, dwudziestym piątym w klasie.

— A cóżem ja winien, proszę ojca, że nas nie ma więcej. *(Śmigus).*

Myśli.

Sprzedać sumienie łatwo; trudno tylko uczynić wybór pomiędzy kupującymi.

Kto przychodzi na wizytę w sam czas, dobrze czyni; kto wychodzi w sam czas — lepiej czyni.

Powiedziano jest: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego". Ludzie stosują się do tego, z tem jednak zastrzeżeniem, że każdy sam siebie za najbliższego sobie bliźniego uważa.

Repertuar teatru hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek „Miejsca kobietom", krotochwila w 4 aktach Hennequina i Valabregue. We wtorek „Gejsza", operetka w 3 aktach Sidney Jonesa. We środę (wznowienie) „Dzwon zatopiony", baśń dramatyczna w 5 aktach Gerharda Hauptmana, przekład Jana Kasprowicza. Pierwszy występ Władysławy Ordon i Józefa Sosnowskiego, nowozaangażowanych artystów z teatru łódzkiego. We czwartek „Noc w Wenecyi", operetka Straussa.

Literatura i sztuka.

+ **Z teatru.** Po pięciomiesięcznym prawie pobycie w Warszawie, pełnym sukcesów artystycznych, powitał personal operetkowy publiczność naszą w sobotę przedstawieniem prześlicznej opery komicznej Offenbacha „Orfeusz w piekle". Nader serdeczne przyjęcie artystów, jak również teatr od góry do dołu przepełniony, świadczyły wymownie o wielkiej sympatyi, jaką cieszy się u nas tak dobrany i świetny ansambl operetkowy. Oklaskiwano więc wszystkich przedstawicieli większych ról w chwili pojawienia się na scenie, najbardziej zaś doskonałą Eurydykę p. Bohuss i figlarnego Kupidyna p. Kliszewską, a niemniej pp. Boguckiego, Lelewicza i Myszkowskiego.

Z przyjemnością konstatujemy, że głos p. Bohussównej, mimo tak licznych występów i wyczerpującej pracy przebytego sezonu w Warszawie, nie tylko nie wykazuje żadnego zmęczenia, lecz brzmi obecnie piękniej, i metaliczniej niż kiedykolwiek, a pod względem artystycznego cieniowania i deklamacyi wyrazistej również widzimy ustawiczne postępy, tak że całość wczorajszej kreacyi zadowolić musiała najsurowszych krytyków i wywołała wśród publiczności niekłamany zachwyt.

Zresztą przedstawienie wczorajsze Orfeusza w niczem się nie różniło od premiery tej operetki na naszej scenie w miesiącu maju b. r., a wówczas nie szczędziliśmy słów uznania wszystkim wykonawcom. Przybyła tylko para doskonałych tancerzy, mianowicie panna Staszko i p. Sachs.

Nadmienić jeszcze wypada postępy wokalne u panny Miłowskiej, która w malutkiej roli Diany miała niestety nie wiele pola do popisu. Chóry i orkiestra pod batutą p. Słomkowskiego trzymały się bardzo poprawnie, a wystawa była świetną jak zawsze. *Fr. Neuhauser.*

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Otrzymane wczoraj).

Celowiec 17 września. Cesarz wraz z arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem przybył tu wczoraj popołudniu. Miasto przystrojono odświętnie; publiczność z zapałem witała Monarchę. Dziś o 7 rano był Cesarz z arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem na Mszy porannej, a o godzinie 10 przyjmował duchowieństwo wszelkich wyznań, naczelników władz cywilnych, krajowych i gminnych.

Cheb 17 września. Podczas wczorajszych demonstracyj policya miejska uwięziła za opór jedną osobę, po wylegitymowaniu się jednak wkrótce ją wypuszczono na wolność. Tymczasem zebrał się tłum przed gmachem starostwa, w którym areszty miejskie się znajdują i żądał wypuszczenia więźnia. Po wypuszczeniu go zebrani ruszyli na plac targowy i odśpiewali tam dwie strofy hymnu austryackiego. Policya ani żandarmerya nie wkroczyły, a skonfiskowano tylko lampiony z napisami: „Precz z *Egerer Nachrichten!*"

Paryż 17 września. Jak donosi „Ajencya Havasa", policya dziś rano aresztowała dwa indywidua, które w nocy usiłowały zaopatrzyć w żywność Guérina i towarzyszy. Jeden z uwięzionych jest synem byłego komisarza policyi; uciekając przed pościgiem ajentów, upadł i ciężko się zranił. Aresztowano go w aptece, do której przybył, aby się dać lekarzowi zbadać.

Gmunden 17 września. Sześć osób dotychczas nie odnaleziono. Prawdopodobnie zginęły one przy zawaleniu się mostu.

Linz 17 września. Od wczoraj panuje tu pogoda. Woda na Dunaju w ciągu dnia wczorajszego powoli opadła. W całej Austryi wyższej stan wody wszystkich rzek znacznie się obniża; wszędzie zarządzono akcyę ratunkową.

Londyn 17 września. Ambasada portugalska zaprzecza wiadomości o wydzierżawieniu obszaru portugalskiego w Afryce wschodniej Anglii lub Niemcom.

Turyn 17 września. Na dworcu kolejowym w Novi zderzyły się ze sobą dziś rano dwa pociągi. Jeden podróżny zabity, dziesięć osób rannych.

Wiedeń 17 września. Dziennik rozporządzeń wojskowych ogłasza uwolnienie ze służby pułkownika Schneidra, jako attaché wojskowego przy ambasadzie w Paryżu i przy poselstwie w Brukseli.

Praga 17 września. Członkowie przemysłowego Związku m. Pragi i okolicy ogłosili odezwę do posłów Rady państwa i Sejmu z Czech, w której wskazując na smutne ekonomiczne położenie i zastój w przemyśle, handlu i rękodzielnictwie, odradzają im dalszego prowadzenia zgubnej walki narodowościowej. Odezwa nawołuje posłów, aby utorowali drogę do pożądanego oddawna i nieodzownie potrzebnego porozumienia i tym sposobem odwrócili ruinę, grożącą handlowi i przemysłowi. Odezwę podpisało z górą stu przemysłowców.

(Otrzymane dziś)

Celowiec 18 września. Monarcha zwiedził wczoraj popołudniu Maria-Wörth i tamtejszy kościół, oraz Poltschach; wszędzie przyjmowano Monarchę jak najuroczyściej i z entuzyazmem. Wieczorem powrócił Cesarz do Celowca. Podczas obiadu, w którym także wzięli udział zagraniczni attachés wojskowi, wydano dyspozycye na dzisiejsze manewry.

Budapeszt 18 września. Minister handlu Hegedüs polecił wypracować projekt ustawy, który ogranicza, względnie bardzo utrudnia zawieranie kartelów.

Carmaux 18 września. Wczoraj po południu odbył się wielki bankiet socyalistycznego stronnictwa. Dep. Jaurès wygłosił mowę, w której zalecał organizacyę proletaryatu, a to w tym duchu, aby cała ludzkość nauczyła się „wykonywać sprawiedliwość". Mówca żądał zniesienia sądów wojennych i rehabilitacyi Dreyfusa i zebranie uchwaliło odnośny porządek dzienny.

Salzburg 18 września. Woda w Salzach, która przedwczoraj już opadała, poczęła wczoraj znowu zwolna przybierać, a to skutkiem ponownego deszczu. Powódź wyrządziła w wielu gminach księstwa Salzburgskiego ogromne szkody na polach, w komunikacyi i w budynkach. Kilkoro ludzi straciło życie.

Dnia 14 b. m. wykoleił się pod Hochfilzen skutkiem podmulenia nasypu pociąg osobowy. Maszynista ciężko ranny, a 3 podróżnych i 3 konduktorów lekko. W pobliżu miejsca katastrofy znaleziono zwłoki nieznajomego człowieka. Komunikacya kolejowa z Wiedniem odbywa się na Linz-Budweis, przyczem podróżni muszą po dwakroć przesiadać się. Kilka osób utraciło życie przy akcyi ratunkowej.

Wiedeń 18 września. Dla Wiednia wylew osiągnął wczoraj punkt kulminacyjny, mianowicie o godzinie 6 wieczorem stwierdzono najwyższy stan wody na Dunaju, wynoszący 5 metrów 66 cm. ponad stan normalny. W ciągu nocy woda o 2 cm. opadła. W dzielnicy drugiej woda wtargnęła do niektórych ulic.

Londyn 18 września. Poranne dzienniki określają odpowiedź Transwaalu jako odmowną i oświadczają, że zamyka ona drogę do wszelkich dalszych rokowań.

Lublana 18 września. Dziś rano o godz. 6½ dało się tu uczuć dość silne, kilka sekund trwające, trzęsienie ziemi.

Celowiec 18 września. Cesarz wraz z świtą udał się dziś o godz. 7 min. 15 rano powozem na pole manewrów.

Pretorya 18 września. Odpowiedź Transvaalu na ostatnią depeszę Chamberlaina zawiera następujące punkta: Transvaal zgadza się na utworzenie komisyi celem studyowania proponowanej reformy wyborczej, natomiast odrzuca żądanie udzielenia uitlaenderom praw obywatelskich po 5 latach pobytu w republice. Transvaal odrzuca żądanie przyznania części mandatów do rady angielskim posiadaczom kopalń złota, oraz żądanie używania obu języków w Volksraadzie. Zgadza się na proponowaną konferencyę i gorąco pragnie sądu rozjemczego, jest jednak zdania, że warunki konwencyi z roku 1884 powinny być ściśle dotrzymane. W końcu wyrażona jest nadzieja, że Anglia nie postawi więcej tak uciążliwych i bezwzględnych propozycyj.

HOTEL IMPERIAL

(pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia)

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 18 września. F. hr. Czosnowski z Ożomli. Hr. Szeptycki z Przyłbicy. St. Starowiejski z Brakówki. A. Krzysztofowicz z Kornicza. M. Czarniakowska z Kipiaczki. A. Michenfelder z Drezna. Sas Naganowski z Brzuchowic. J. Schenk z Nessendorfu. F. Bölling z Lipska. J. Qverhoff z Wiednia. W. Engelen i J. de Koning z Holandyi.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 17 września. JO. ks. S. Lubomirski z Równego. M. hr. Dzieduszycki z Krakowa. J. hr. Dębicki z Jaworowa. W. Zalewska z Hłuboczka. Br. Błażowski z Nowosiółki. JO. ks. Gedroyć z Mostów. J. Grunwald z Dusanowa. Hr. Borkowska z Mielnicy. L. Michałowski z Borysławia. J. Schnepp i br. Jorkasch-Koch z Wiednia. Dr. A. Landesberg z Tarnopola. Br. Loewenstein z Wygody. J. Kreiml z Nicholsburga. St. Glazor z Jasła. Rotm. Pomiankowski z Rzeszowa. Dr. W. Czaykowski z Przemyśla. A. Popiel z Borysławia. M. Łempicka z Rosyi.

HOTEL FRANCUSKI
Ludwika Stadtmüllera.

Przyjechali dnia 18 września. Hr. Izydorowie Czosnowscy i A. Breza z Wołynia. W. Nake-Nakęski z Wadowic. R. Dmowski z Londynu. Hr. Ledochowska i hr. Kamieńska z Podola ros. Hr. Komorowska z Bielinka. Wł. Czaykowski z Sarnik. Br. G. Strawińscy z Szydłowiec. Dr. W. Ratz z Hanoweru. L. Gade z Salzburga. T. Pietraszkiewicz i R. Stöger z Krakowa. J. Kohler z Zabłotca. Dr. H. Hough z Irlandyi. H. Horvath z Budapesztu. J. Preiss z Pragi. W. Stołyhwo z Warszawy. Dr. Maciulski z Żółkwi. J. Kohn, D. Wagner, R. Stroh z Wiednia. K. Łęccy z Monasterzec. Dr. A. Kowenicki z Brzeżan. B. Bronikowski z Hadyńkowic. P. Tomaszewska z Kołomyi. E. Hoffmann z Budapesztu. J. Liskowicz z Sokala.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów 18 września. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210·50 do 212·50 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 283 00 do 286 00 Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 372.— do 379 —. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 253·— do 258·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 197 00 do 200·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110.00 do 110 70 4 i pół proc. los. w 50 lat 100 00 do 100·70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc los w 61 lat 100 20 do 100·90. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96 50 do 97 20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96 50 do 97·20. 4 proc. los w 56 lat 93·40 do 94·10.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97.10 do 97·80. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102 50 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·00 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97 00 do 97·70. Pożyczki kraj. 6 proc. 103 00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 96.00 do 96 70, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 93 10 do 93·80.

Monety. Dukat cesarski 5·67 do 5·77. Napoleondor 9.53 do 9·63. Rubel rosyjski papierowy 127·20 do 128.20. 100 marek niemieckich 58·75 do 59·15

Wiedeń 18 września. (Giełda towarowa). Cukier 12·60. Tendencya słaba. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus niezmieniony 19·90.

Berlin 18 września. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·50. Spirytus 43·70.

Paryż 18 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100 35. Mąka („Fleur de Paris") 25·55.

Wiedeń 18 września. (Giełda zbożowa). Pszenica na jesień 8·54—8·55, na wiosnę 8·88—8·89; żyto na jesień 6 85—6·86, na wiosnę 7·21—7·22; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0 00, na wrzesień-październik 5·48—5·49; na maj-czerwiec 1900 r. 5·39—5 40; owies na jesień 5·39—5·42, na wiosnę 5·76—5·77; rzepak na sierpień-wrzesień 12·50—12 60, na wrzesień październik 00·00—00·00, na styczeń-luty 1900 r. 00 00; olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 32—33. Tendencya: słaba. Pogoda: piękna.

Budapeszt 18 września. (Giełda zbożowa). Pszenica na wrzesień 8·40—8·41, na październik 8·46—8·47, na kwiecień 1890 r. 8.79—8·81; żyto na październik 6·58—6·59, na kwiecień 1900 r. 6·92—6 93; owies na październik 5·14—5·15, na kw. 1900 r. 5·50—5·51; kukurudza na wrzesień 5·09—5·10, na maj r. 1900 5·15—5·16; rzepak na wrzesień 11·90—12·00, na sierpień 1900 r. 00·00—00·00. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna dostateczne. Tendencya: lepsza. Pogoda: piękna.

74)

OPĘTANI

POWIEŚĆ MATYLDY SERAO.

(Ciąg dalszy).

Obie grupy spoglądały na siebie poważnie, skłoniły się sobie grzecznie i gdy Rafael z towarzyszami spokojnie w dalszym ciągu spożywali makaron, czterej nowoprzybyli pozdejmowali kapelusze i porozwieszali je na gałęziach drzew. Podano im makaron bezzwłocznie, może dlatego, że gospodarz wrzucił go do wrzącej wody odrazu tyle, ile potrzeba było dla dwóch towarzystw. Tym sposobem, gdy grupa pierwsza, zwolniła nieco tempo w zaspokajaniu apetytu, a druga przyśpieszała je, wkrótce obie stanęły na jednym punkcie. Od czasu do czasu oba towarzystwa spoglądały na siebie wzrokiem przeciągłym i obojętnym. Pomimo wielkiej ilości wypitego wina, wydawali się zupełnie trzeźwymi i niektórzy z nich z zupełną swobodą wyciągnęli się na krzesłach.

A jednak, pomimo jednakowej przy obu stołach swobody, tak dalece jednakowej, jak gdyby obie grupy zobowiązały się do niej z góry, brakowało tej naturalnej, wrodzonej Neapolitańczykom wesołości, podczas której śmiechy, krzyki i śpiewy rozlegają się chórem nieprzerwanym. Niekiedy otaczający Farfariella przyjaciele nachylali się ku niemu i uśmiechali się dumnie i to był jedyny objaw ich wesołości. I towarzysze Ferdynanda nie bawili się wesoło, tylko poważnie wypróżniali butelki.

Carmela z kryjówki swej przyglądała się uśmiechowi Rafaela i wychylanym przez obie grupy szklankom. Widziała ich gesty spokojne, nie słyszała najmniejszej wrzawy, a jednak jakiś ból ściskał jej serce i tamował oddech. Stała z opartem czołem o brudną szybę okna i z utkwionym wzrokiem w Rafaela, jak gdyby pragnęła odczytać jego myśli. Gospodarz przyniósł owoce i inny gatunek wina, poczem chłopak, na rozkaz ojca, wydany mu do ucha, odpasał fartuch, nałożył czapkę na głowę i pędem pobiegł na drogę Ponti Rossi. Carmela struchlała i uczuła nieprzepartą ochotę zejść na dół, ująć Rafaela za ramię i uprowadzić go daleko, gdzieby go nie zobaczył żaden kamorysta. Lecz nie odważyła się. Już od miesiąca Rafael uciekał przed nią uporczywie, że nigdzie nie mogła się z nim spotkać, zresztą kazał oświadczyć jej wyraźnie, że napróżno prześladuje go, gdyż on nie chce jej znać więcej.

— Gdyby mi choć powiedział dlaczego, poddałabym się z pokorą i poszłabym sobie — z płaczem odpowiadała tym, co powtórzyli jej słowa Rafaela.

Nie widziała go już od miesiąca, o dzisiejszej zaś schadzce kamorystów w oberży Babbasona dowiedziała się od jednego z przyjaciół Rafaela i natychmiast pieszo przybyła z Neapolu.

Nie miała odwagi zejść na dół, gdyż przeczuwała, że Rafael zwymyślałby ją i wypędził jak w czasach ostatnich czynił zwykle. Drżała na wspomnienie jego głosu podrażnionego i słów wzgardy.

Obiad miał się wkrótce skończyć spokojnie i biesiadnicy obu grup palili już cygara, z oczyma błądzącemi w przestrzeni, z poważną miną świętoszków, co zjadłszy obiad smaczny, zabierają się do trawienia. Chwilami spokój ich i całego otoczenia, był tak wielki, że Carmela uspokajała się i zaczynała przypuszczać, iż obawy jej były przedwczesne.

Towarzysze Ferdynanda powstali, ściągnęli pasy, obciągnęli kurtki, nałożyli kapelusze i odeszli. Przechodząc przed stołem Rafaela, poważnie przykładali ręce do kapeluszy, na co biesiadnicy grupy przeciwnej odpowiedzieli tymże ruchem.

Carmela odetchnęła swobodniej, lecz w tejże chwili spostrzegła, że zamiast udać się w kierunku Ponti Rossi, skąd przybyli i dokąd odjechały dorożki, po jednemu udali się po za drugą stronę oberży. Podbiegła do drugiego okna, wychodzącego na pola, i zobaczyła ich wchodzących za wielką grupę drzew. Zaniepokojona wróciła do okna pierwszego. Wszystko byłoby dobrze, gdyby towarzystwo Rafaela zwróciło się na drogę wiodącą do Capodimonte, skąd przybyło, gdyż znaczyłoby to wtedy, że chodziło tylko o spożycie obiadu. W tem na dany przez Rafaela znak, towarzysze jego powstali, on zaś spokojnie zapłacił należytość gospodarzowi i sięgnął ręką po wiszący na gałęzi kapelusz. W tej chwili Carmela spostrzegła, że miał za pasem rewolwer, ale ponieważ Rafael zawsze nosił go ze sobą, więc do okoliczności tej nie przywiązywała wielkiego znaczenia. Przyjaciele zwrócili się na drugą stronę domu i odeszli tą samą drogą co ich poprzednicy. Po kilku minutach połączyli się i postępowali za nimi.

Carmela nie mogła już dłużej usiedzieć w pokoju, czuła, że serce jej pęknie z bólu. Podbiegła do drzwi, lecz były zamknięte na zasuwkę. Zaczęła wstrząsać niemi i opierała się mocno ramieniem, aż wreszcie skobel ustąpił z futryny spróchniałej. Zbiegła po schodach, lecz na ostatnim stopniu spotkała się z gospodarzem domu, który usłyszawszy hałas podszedł i zastąpił jej drogę.

— Dokąd idziesz?

— Puść mnie pan!

— Dokąd idziesz? Czyś zwaryowała?

— Puszczaj mnie pan!

Uchwycił jej ręce i patrząc w oczy, zapytał:

— Czy to za ciebie chcą się bić?

— Na miłość Boga puszczaj mnie pan!

— Chcesz, żeby cię zabili?

— Niech zabiją! — wołała i szarpnąwszy się mocno, wyrwała się z rąk jego.

Płacząc i zakłócając ciszę wiejską swemi łkaniami i krzykiem, biegła przed siebie, minęła grupę drzew zielonych i nasłuchując, padając i podnosząc się pędziła ich śladem.

W tem usłyszała naprzód jeden, następnie kilka z kolei wystrzałów z rewolweru. Rzuciła się między szeregi walczących i pochwyciwszy Rafaela za ramię, zawołała z rozpaczą:

— Idź stąd!

— Nie pójdę! — odrzekł, wyrywając się.

— Idź!

— Nie pójdę!

Strzały rozlegały się dalej, odbijając się echem o bliskie grupy drzew.

W tem Carmela opuściła ręce i powoli osunęła się na ziemię. Upadek jej wywołał przestrach między walczącymi tem większy, iż mieszkańcy wioski Capodimonte, zdziwieni wystrzałami, zaczęli biedz ku polu walki. Obie grupy rzuciły się do ucieczki i znikły w lesie, zostawiwszy z raną obok skroni leżącą na ziemi Carmelę. Pozostał tylko Rafael, który nachyliwszy się nad nią, bezskutecznie usiłował chustą zatamować krew płynącą. Dziewczyna otworzyła oczy i słabym głosem zapytała:

— Powiedz o kogo biliście się?

— Nie myśl o tem, pamiętaj raczej o swem zdrowiu — rzekł, niespokojnie spoglądając wokoło siebie.

— Nadejdą ludzie, uciekaj — rzekła, spostrzegłszy jego wzrok i myśląc tylko o jego ocaleniu.

— Nie mogę opuścić cię w takim stanie.

— To mała rzecz. Uciekaj, bo zaaresztują cię.

— Więc do widzenia. Zobaczymy się w szpitalu Pellegrini. Przyjdę do ciebie.

— Dobrze. Uciekaj. Do widzenia.

Rafael pospiesznie pobiegł za towarzyszami.

Carmela sparła się na jednej ręce o ziemię i śledziła go wzrokiem, zaś ręką drugą przykładała chustkę do skroni, z której krew strumykami spływała po szyi, ramionach, aż na kolana. Pochyliła głowę i była tak osłabioną, że gdy z Capodimonte nadbiegli komisarz, dwaj policyanci, karabinier i kilku włościan, musieli posadzić ją na wziętem z oberży krześle, gdyż utrzymać się na nogach nie mogła. Szli powoli tą samą drogą, którą ona postępowała przed kilkoma minutami. Stopy jej uderzały o nogi krzesła, ręce zwieszały się bezwładnie, głowa chwiała się na wszystkie strony. Za każdem wstrząśnieniem wielkie krople krwi spadały na ziemię. Złożono krzesło przed oberżą w pobliżu dwóch stołów, pokrytych jeszcze zaplamionemi winem obrusami.

— Może pani napijesz się czego? — zapytał komisarz.

— Proszę wody — odrzekła, powoli otwierając oczy, jak gdyby ciężyły jej powieki.

Posłano po dorożkę, by odwieźć ranioną do szpitala Pellegrini, a tymczasem do rany przyłożono kompres umaczany w wodzie zimnej.

— Jak pani się czujesz? — zapytał komisarz, który widząc jej siły słabnące, pragnął przystąpić do badania.

— Lepiej.

— Kto panią ranił?

— Nikt — odrzekła spokojnie.

— Proszę powiedzieć prawdę, bo w każdym razie będziemy wiedzieli — surowo napomniał urzędnik.

— Nie wiem.

— Ilu ich było?

— Nie wiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów, ul. Kopernika l. 9